Nr. 11. Lwów, dnia 1. Listopada 1885. Rok VIII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

LAS I ZWIERZYNA.

Las i zwierzyna — jak łatwo dają się te dwa pojęcia na papierze z sobą połączyć, jak naturalnem się być zdaje, że jedno bez drugiego ledwo pomyślanem być może, a jednak w istocie nie małą jest trudnością w wielu miejscach harmonię między niemi wprowadzić. Żyjemy w czasie, w którym niejedno podlega zmianie, w czasie, w którym pojedyńczy nie tworzy, lecz tysiące podają sobie dłonie, aby spełnić, czego jeden dokonać nie zdoła.

W łowiectwie też nastąpiło przeobrażenie. Zmieniało się ono nieustannie, to poprawiało, to pogorszało w miarę stosunków, czy to odnośnie do przemiany gatunków zwierzyny czy to do sposobów polowania, lub też większego albo mniejszego znaczenia, jakie łowy pozyskiwały. W nowszych czasach jednak inna rzecz stoi na porządku dziennym, mianowicie uprawnienie bytu zwierzyny. Nie potrzebujemy szanownym czytelnikom przypominać, że do chwili obecnej wszędzie prawie odzywały się głosy, które nie tylko usiłowały byt zwierzyny, względnie pojedyńczych jej gatunków, podkopać, ale nawet wcale ją wytępić.

Ponieważ przy rozważaniu sprawy łowieckiej oprzeć się musimy o las, jako przyrodzone miejsce pobytu i schronienie zwierzyny, i właśnie z powodu lasu zwykle podnoszone bywają skargi; jest przeto koniecznością poświęcić temu przedmiotowi kilka słów. W czasie, gdy las i łowy były dobrem pospolitem, nie zaznaczały się ostre kresy między niemi tak, jak obecnie. Łączyły się z sobą i można śmiało twierdzić, ża las w wielu miejscach ochraniano jedynie z powodu zwierzyny. Braku drzewa nie znano podówczas. Kiedy później spostrzeżono, że nadejdzie chwila, w której może drzewa na potrzebę ludzi zabraknie, poświęcono więcej uwagi lasowi i gospodarstwu w nim. Gospodarstwo lasowe podniosło się. Drzewo stało się przedmiotem głównym, a podrzędne, do których i łowy zaliczono, coraz bardziej usuwano. Jest to już przyrodzoną właściwością człowieka, iż w działaniu swojem łatwo wpada w ostateczność, co też w części się dzieje, gdy się mówi lub pisze o stosunku zwierzyny do lasu. O ile posiadacz lub zarządzca majątku jest myśliwym albo leśnikiem, o tyle zdania w tym względzie są odmienne. Pierwszy i drugi broni swej sprawy, aby ją ile możności podnieść. Każdy z nich uważa swoje zdanie za sprawiedliwe, żaden nie ustąpi. Tak więc dwa te obozy od dawna już występują do walki przeciw sobie, a żadnemu dotąd nie udało się odnieść zwycięztwa. Jakkolwiek nie jedno pióro już w tym przedmiocie sią skruszyło, nie jedna rozprawa nawet gorąca starła się z sobą w sprawie leśniczej i łowieckiej, to jednak dotąd ta sprawa wcale nie jest rozstrzygniętą. Specyalny leśnik, pragnący z przesadzoną pedanteryą wszystko z lasu usunąć, co nie jest drzewem, w każdej żyjącej istocie dostrzegający szkodnika lasu, nie umiejący uczuć powabu i życia natury, wywodzący w swoich sążnistych sprawozdaniach ze zwierzyny główną szkodę dla lasu; taki

zaprawdę nigdy nie może i nie powinien odnieść zwycięstwo i głosić hymn tryumfu. Obowiązkiem łowca jest być rzecznikiem zwierzyny, powinnością jego jest bronić słuszną sprawę wobec przeciwników łowiectwa i wszelkimi możliwymi środkami walczyć w dobrej sprawie.

Jak już wyżej wspomnieliśmy, musi tam, gdzie szlachetniejsze gatunki zwierząt przebywają, względnie są hodowane, znajdować się las, a ponieważ on jest miejscem pobytu i schronienia zwierzyny, to przedewszystkiem powinno myśliwemu na tem zależeć, aby las ochraniać w celu utrzymania w nim zwierzyny. Wspólne to zadanie leśnika i łowca, środki ich działania są tylko odmienne. Z nich tworzą się przeciwieństwa, które w takim tylko razie łagodzą się, jeśli leśnik i łowiec jedną stanowią osobę. Myśliwy pragnie dla zwierzyny lasu pierwotnego, niedostępnych gąszczy, ile możności miejsc wolnych w starych drzewostanach jako żerowiska, spokoju i ciszy w lesie. Przeciwnem jest dążenie leśnika, jego zadaniem jest mieć szybko podrastające, rozległe zadrzewienia, zwarte starodrzewy, jak najwięcej ruchu i życia w lesie, świadczących o umiejętnem i racyonalnem gospodarstwie. Że las i zwierzyna swobodnie obok siebie pomyślnie rozwijać się mogą, dają dowód Czechy, jako pierwszorzędny kraj w monarchii pod względem leśnictwa. Znajdujemy tam nie tylko wzorowe gospodarstwo lasowe, ale też znakomicie prowadzony zwierzostan. Tam też są najcelniejsi leśnicy również wybornymi myśliwymi, którzy umieją cenić należycie łowiectwo. Uważaliśmy potrzebę tej wzmianki w celu ochronienia się od możliwego zarzuta, że hołdujemy polityce uczuciowej.

Wybraliśmy jako przedmiot naszych uwag zwierzynę płową, jako pierwszorzędny i najszlachetniejszy gatunek zwierzyny, a zarazem jako najgroźniejszego wroga gospodarstwa lasowego. Życie tego zwierza jest ściśle złączone z lasem, ponieważ może być na wolności hodowany tylko w większych, zwartych i spokojnych leśnictwach, i więcej wymaga uwagi posiadaczy lasu i łowiectwa, jak każda inna zwierzyna. Jak wiadomo ma zwierzyna płowa między leśnikami najwięcej wrogów, z powodu różnych niepożądanych zwyczajów, nie dających się pogodzić z gospodarstwem lasowem. Występuje tu przedewszystkiem nader szkodliwe obłupywanie, tylokrotnie już poruszane i rozważane. Odkąd las troskliwszej doznaje opieki, poczęto tę niecnotę zwierzyny płowej wykazywać i usiłowano albo zwierzynę od niej odzwyczaić, względnie przeszkodzić, albo stan jej zmniejszyć. Mniemania o obłupywaniu były początkowo bardzo rozmaite. Z jednej strony utrzymywano, że obłupywanie dzieje się z powodu braku pożywienia, z drugiej, że jest to poszukiwanie garbnika potrzebnego do trawienia, z trzeciej nakoniec uważano to jako zły zwyczaj. Co do pierwszego twierdzenia, to jest ono już zupełnie usunięte i odparte stanowczo okolicznością, że zwierzyna najbardziej obłupuje przy żerowiskach, gdzie przecież nie ma braku pożywienia. Drugie mniemanie nie można również uważać za usprawiedliwione, ponieważ obłupywanie nie odbywa się normalnie, lecz tylko sporadycznie i wyjątkowo, nie może przeto być niezbędnem dla procesu trawienia. Sprzeciwia się też owemu twierdzeniu i to, że dawniej o obłupywaniu w wielu rewirach nic nie wiedziano, i że ono dopiero w nowszych czasach w wielu miejscach się pojawiło, w innych zaś wcale go nie było lub znikło. Możemy przeto śmiało wypowiedzieć, że trzecie twierdzenie jest jedynie prawdziwem i że uznała je już znaczniejsza liczba posiadaczy lasów i łowiectwa. Pewność ta jest dla myśliwego pocieszającą, w takim bowiem razie są środki i sposoby zaradzenia złemu bez uszczerbku dla zwierzyny i jej żerowania, coby nie było możliwem, gdyby pierwsze lub drugie mniemanie okazało się prawdziwem.

Nim podamy środki zapobieżenia tej chorobie, niech nam będzie wolno rzucić słów kilka o samem obłupywaniu. Pod tą nazwą rozumie leśnik oddzielanie kory drzewnej od pnia. Obłupywanie odbywa się tak w lecie jako też w zimie i należy je odróżnić. Odmienne są od siebie znacznie sposobem wykonania jakoteż mniejszą lub większą szkodliwością dla drzewa. Obłupywanie letnie wykonuje zwierzyna chwytając korę zębami i zdzierając pas jej wzdłuż pnia ku gorze. Ponieważ kora w miesiącach letnich z wielką łatwością daje się obłupywać, a zwierzynie zdaje się to zdzieranie kory wielką sprawiać przyjemność, to naturalnie wielka stąd dla lasu może wyniknąć szkoda. Zimowe obłupywanie polega więcej na oskrobaniu kory, bo ona w zimie nie daje się obłupywać. Zwierzyna ogryza czyli oskrobuje pnie, tak jak mysz lub wiewiórka. Ponieważ to oskrobywanie nie wywołuje tyle upływu żywicy, jak obłupywanie letnie, przeto mniejsza wynika z niego szkoda. Z gatunków drzewa obłupywanego najbardziej cierpią drzewa szpilkowe, mianowicie sosna względnie jodła. Im bardziej pień jest wyniosłym i wolnym od konarów, tem bardziej bywa obłupywany. Rozpoczyna się obłupywanie z czasem, w którym pień poczyna oczyszczać się z gałęzi i trwa aż do stwardnienia kory. Drzewostan przeto mniej cierpi, jeżeli rychlej zdąży do zakończenia tego procesu. Prócz powyższego nader ważnem jest dla myśliwego miejsce obłupywania, bo tylko względnie może mu pomyślnie zaradzić. Doświadczenie wskazuje, że obłupywanie naprzód tam się pojawia, gdzie zwierzyna najdłużej wspólnie przebywa. Dzieje się to mianowicie przy żerowiskach, jeżeli one założone są w odpowiednich do obłupywania drzewostanach lub w pobliżu ich. Powodem, z jakiego zwierzyna tu najbardziej korę obłupuje i zniszczenie nawet dalej szerzy, jest nuda i swawola. Przedstawmy sobie stadko przebywające przez kilka miesięcy na żerowisku w młodem zadrzewieniu sosnowem. Coż to się tu dzieje jedynie z nudów i swawoli. Każda sztuka zapędza się to tu to tam łasując u krzewów, gałązek drzewnych i t. d. Oto jedna sztuka oblizuje młody pieniek sosnowy, smakuje jej, więc nie poprzestaje na lizaniu, zęby idą w pomoc. Ostry smak kory podoba się, więc gryzie coraz dłużej nie dla zaspokojenia głodu, lecz dla zabicia czasu i łakomstwa. Druga i trzecia sztuka spostrzega to, naśladuje i wnet całe stado tem się zajmuje. Tak dzieje się dzień po dniu, tydzień po tygodniu, aż wreszcie wiosna przynosi inne rozrywki i przysmaczki. Zwykle stare jako przewodniki i nauczyciele młodych, mają ów grzech głównie na swojem sumieniu. Prócz tego znajduje się obłupywanie, szczególnie letnie, na przesmykach. Gdzie letnie obłupywanie między zwierzyną się zagnieździło, tam w młodych zadrzewieniach nie długo trzeba szukać, białe pasma u pni wskazują przesmyki dostatecznie i to po tej stronie, skąd zwierzyna przemyka.

Inna szkoda, jaką leśnicy zwierzynie płowej przypisują, jest ogryzanie sadzonek. Nie może to być uważane za zły zwyczaj, dzieje się bowiem z popędu naturalnego poszukiwania żeru. Ogryzane bywają młode pędy i pączki różnych gatunków drzew. Im rzadszym jest jaki gatunek drzewa, tem bardziej narażony na ogryzienie Sam widzia-

łem raz, jak dwie stare sarny walczyły około samotnego świerka, gdy jedna do ucieczki zmuszoną została, druga karmiła się z widocznem zadowoleniem młodymi pędami. Ogryzanie odbywa się najchętniej w zasadzonych kulturach z szybkim wzrostem. Szkoda staje się tem dotkliwszą, że przytem zwykle pęd szczytowy bywa odcięty i że co dziwne, raz ogryziona sadzonka zawsze ponownie bywa nawidzana. Ogryzanie trwa przez rok cały, a najszkodliwszem jest w zimie, ponieważ w tej porze pęd szczytowy, zawsze sterczący ze śniegu, pada ofiarą.

Inną jeszcze szkodę czyni zwierzyna płowa rozdeptywaniem młodych sadzonek. Dzieje się to szczególnie w kulturach na pochyłościach i to tak, że sadzonki nie tylko są rozdeptane, lecz wyrwane z korzeniem i daleko odrzucone. Wydarza się to szczególnie, gdy zwierzyna w szybkiej ucieczce przez kultury z góry pomyka. Niech nam wolno będzie dodać tu uwagę, że tam, gdzie w rewirach bydło się pasie, szkoda przez nie zrządzona bywa często zwierzynie przypisywana. Ile szkody uczyni bydło w kulturach przez jedną godzinę, nie zdoła wyrządzić zwierzyna przez rok cały. W otwartej kulturze stał około 10-letni modrzew. Z powodu pięknego wzrostu ochranialiśmy go i otoczyliśmy mocnymi palami, aby go zabezpieczyć od uszkodzenia. Zwierzyna nie tknęła go, ale gdy po niejakim czasie wpędzono tam bydło, zniknął modrzew pewnego pięknego poranka. Wyrwany on był wraz z korzeniem, odrzucony, a pale albo były wyrwane lub połamane. Liczne ślady kopyt wołowych wskazywały sprawców tej szkody.

Oto w krótkości wszystko najkonieczniejsze, cośmy uważali za potrzebne wypowiedzieć i co istotnie się dzieje. Wyżej wymienione fakta nie dadzą się zaprzeczyć, przeto myśliwy nie powinien ślepo upierać się przy swem przekonaniu, lecz raczej według możności zaradzać złemu i wszelkich używać środków i sposobów w celu usunięcia jego. Prawdziwy myśliwy będzie nie tylko podnosił korzyści ze zwierzyny a szkody przez nią zrządzane lekceważyć, ale dowiedzie on przeciwnikom łowów, że strony ujemne zwierzyny zna doskonale i że usilnie stara się je usunąć. W taki tylko sposób zdoła w obec przeciwników wystawić prawdziwe znaczenie łowów, w przeciwnym razie narazi się na ich lekceważenie. Staje się zatem potrzebą niektóre z tych środków wykazać. Już u wstępu tej rozprawy wspomnieliśmy o obłupywaniu dodając, że ono najczęściej przy żerowiskach się odbywa. Przy zakładaniu żerowisk zwraca się zwykle uwagę na wszystko, co zwierzyny dotyka, i mimowolnie przez to stawia ją w fałszywem świetle. Dla czegoż to tak często urządza się żerowiska śród lub w pobliżu zagajeń i młodników, a nie w starodrzewie, gdzie zwierzyna nie znajduje zachęty do obłupywania? Sądzimy, iż w takim razie bardziej baczyć należy na szkody, jakie wyniknąć mogą, jak na korzyści, jakich zwierzyna doznaje. Jeśli urządzi się żerowiska w starodrzewach, to naturalnie zwierzyna szkody czynić nie będzie. Wprawdzie nie znajduje ona w nich należytej ochrony od wpływów atmosferycznych, i z tego powodu chętniej przebywa w młodnikach. Zaradzić wszakże temu można środkami ochronnymi, jakich się używa w zwierzyńcach. Widzieliśmy je w wolnych rewirach turyngskich i odpowiadały one zupełnie swemu celowi. Dla sarn od dawna już używano budynków ochronnych. W celu zabezpieczenia zwierzyny szlachetnej od zawiei śnieżnych i tym podobnych złych wpływów, godnymi polecenia są dachy ochronne, składające się z wbitych w ziemię palów, pokrytych gałęziami. Rozległość takiego budynku zawisła od liczby zwierzyny, a szerokość 5 metrów jest dostateczną. Zakłada się owe dachy w bezpośrednim pobliżu żerowiska, albo też umieszcza się żer pod samym dachem. W przeciwnym razie nie szuka zwierzyna pod nim schronienia. Jeżeli koniecznością jest urządzenie żerowiska w pobliżu odpowiedniego do obłupywania drzewostanu, to według naszego zdania zwierzyna ma tyle wartości, iżby ów rewir otoczyć płotem i tem zapobiedz szerzeniu się złego. Wszakże nieraz ogradza się całe obszary własności leśnej z powodu zwierzyny, więc można twierdzić, że stać się to powinno w wskazanych wypadkach w celu ochronienia lasu od szkody. Zaniechanie tych środków szkodzi zwierzynie bardzo. Dosyć przypomnieć sążniste owe sprawozdania, spisane na niekorzyść zwierzyny, powodujące niestety dosyć często jej ubytek lub wcale wytępienie. Że aż do tego doszło, winę przypisać należy nie zwierzynie, lecz właścicielowi jej. Rozumny człowiek nie będzie karał bydło, wpadające na obce pole i robiące w niem szkodę, lecz odpowiedzialnym za nią uczyni dozorcę jego.

Co do ogrodzenia, to najodpowiedniejszem jest druciane. Drut jest trwalszy, łatwiej da się naprawić i przytwierdzić go można do drzew samych.

Środki powstrzymania obłupywania na przesmykach rzadziej dadzą się użyć. Przedewszystkiem należy się o to starać, aby zwierzyna nie obierała sobie głównych przesmyków w takich drzewostanach, które mogą być obłupywane. Stać się to może częstem niepokojeniem takich miejsc lub też odwietrzeniem ich. Ogrodzenie na skrzydłach jest także użytecznem. Że zwierzyna rychło przesmyków unika, dowodzą zręby, jak długo w nich wre życie, tak długo przesmyk pobliski nie bywa nawidzany, często nawet zupełnie zaniechany. Czasem wystarcza jawienie się myśliwego podczas pochodu zwierzyny, aby zwykły jej przesmyk stał się podejrzanym.

Pragnąc wyczerpać przedmiot skutecznych środków, dostępnych dla myśliwego, nadmieniamy o wyrabianym przez leśniczego Hohlfelda proszku, który zwierzynie poddawany ma jej odejmować ochotę do obłupywania. Środka tego używają podobno z dobrym skutkiem w majątku hr. Clary w Czechach. Również pożyteczną okazała się w Czechach mięszanina proszku istryjskiej galasówki z solą, wkładana do lizawek. Mięsza się cztery funty proszku galasowego z 5 funtami soli i wkłada w glinę. Cetnar galasówki może kosztować 35 złr. W galasówce znajduje się 70 – 75 procentu garbnika *(acidum tannicum)*, zwierzyna chętnie ją przyjmuje, a przyzwyczaiwszy się do niej już nie smakuje w słabo garbnikowej korze rozmaitych drzew. Co do jeleni ważnem jest używanie tego środka szczególnie w czasie nakładania wieńca. W zwierzyńcu hr. Thun-Hohenstein w dobrach Tetschyn używano z pożytkiem smarowania pni wodą wapienną.

Nim zakończymy rozdział o obłupywaniu, należy podać przyczynę, dla czego w nowszych czasach ta niecnota zwierzyny bardziej jak kiedykolwiek się rozszerzyła. Wina nie cięży na zwierzynie, niepodobna bowiem przypuścić, iżby jej zwyczaje tak się zmieniły, jak zmieniają się u ludzi. Należy winę upatrywać w nowoczesnem gospodarstwie lasowem. W czasach dawniejszych, gdy las mało był używany, gdy najmłodsze i najstarsze drzewo równo w całym lesie było rozdzielone, gdy starsze pnie chronione były późniejszym porostem, nie miała zwierzyna tyle sposobności

*

do obłupywania. Nie było podówczas czystych w równych linijach stojących drzew, nie wyzyskiwano lasu, jednem słowem las był w stanie pierwotnym, chronił się sam. Główną rolę odgrywał mięszany drzewostan, obecnie coraz rzadszy. Z przeistoczeniem gospodarstwa lasowego pomnożyły się też szkody w skutek obłupywania i będą się jeszcze coraz bardziej mnożyć im więcej udoskonala się gospodarstwo lasowe, jeżeli nie będą użyte środki zaradcze przez leśników i myśliwych. Naturalnie mówimy tu tylko o takich lasach, gdzie gospodarstwo lasowe starannie jest prowadzone, gdzie każdy niemal pień jest policzony i każde drzewo aż do patyka jest spożytkowane. Gdzie gospodarstwo lasowe z powodu niekorzystnych stosunków exportu jeszcze jest w stanie pierwotnym, gdzie corocznie wiele setek sążni drzewa gnije, tam nie odzywają się narzekania na szkody, przez zwierzynę wyrządzane. W części nie ma tam istotnie tyle szkody, w części zaś nie stawia się ich w rachunek. Bardzo często jest dochód z polowania jedynym, jaki las daje. Takich stosunków mamy w Austryi jeszcze dosyć. Jeżeli tam odzywają się głosy przeciwne hodowli zwierzyny, to dzieje się to jedynie z czystej niechęci do łowów.

W końcu pozostaje nam jeszcze obowiązek podania środków przeciw obgryzaniu przez zwierzynę. Ogrodzenia, obfite i zdrowe żerowiska zimowe, są tu jedynie wskazane. Nie polecamy wcale stałych rozległych żerowisk, przeciwnie więcej, ale małych rozrzuconych w różnych miejscach rewirów. W lecie zakładać łąki i pólka dla zwierzyny. Ostatnie czynią tę przysługę, że zwierzyna w pola się nie zacieka. Co do łąk dla zwierzyny, to niestety mają one zwykle tę wadę, że pożyteczne są chyba dla mrówek, nie dla zwierzyny. Gdy się pozostawiło wolne miejsce w lesie, to już zdaje się być rzeczą dostateczną, resztę oddaje się Panu Bogu. Gdy cel nie jest osiągnięty, przypisuje się winę metodzie i skazuje się ją na zapomnienie.

Nie chcemy twierdzić, iżby powyżej wskazane rady były środkiem uniwersalnym, owszem jesteśmy przekonani, że tylko rozumne ich użycie do pomyślnych prowadzą rezultatów. Usłyszymy zapewne zarzut, że jest bardziej obowiązkiem leśników chronić las od szkody. Zarzut ten nie jest sprawiedliwym. Zapewne jest rzeczą leśnika chronić las od szkody, może on to w bardzo prosty i skuteczny sposób uczynić wystrzeliwaniem bezwzględnem zwierzyny. Ale na to nie powinien pozwolić myśliwy. Jego jest powinnością ochronić zwierzynę od wszelkich złych wpływów, mianowicie od wszelkiego rodzaju drapieżnictwa, od głodu, chorób, wydarzeń przyrodzonych i t. d. Jak już wyżej nadmieniliśmy, można przytoczone szkodliwe działania zwierzyny uważać jako chorobę, którą leczyć należy, a to jest rzeczą myśliwego. Gdyby więcej jak dotąd, na to zwrócono uwagi, tobyśmy już pewnie znacznie w tym względzie postąpili i mielibyśmy więcej środków zaradczych. Co do tej chwili uczyniono, wyszło od leśników w celu ochrony lasu, nie zaś na korzyść zwierzyny. Jak długo łowiectwo oddzielone jest od leśnictwa i nic nie czynią sami posiadacze obszarów łownych, tak długo trwać będzie walka o byt między lasem a zwierzyną, a nawet zapali się jeszcze bardziej, im wyżej kultura podnosić się będzie.

J. Schimpke (Weidmannsheil) tł. J. Ł.

MYŚLIWSTWO W SYBERYI

PRZEZ

Dra JANA JODŁOWSKIEGO.

Czytając zamieszczone w pierwszych numerach „Łowca“ z b. r. w artykule „Z dziewiczego kraju“ podane przez autora sposoby łowienia zwierza, ptactwa i ryb, przebywając (nie z własnej woli) w tej samej gubernii, lecz w innym, bo północnym, sięgającym koła biegunowego, powiecie, obszarem równającym się prawie trzem czwartym obszarowi Francyi, przez czas jakiś zarabiając na życie jedynie polowaniem i połowem ryb; zamierzyłem sprostować piękne a jednak niedokładne opisanie forteli łowieckich, których nieraz nie tylko byłem naocznym świadkiem, ale i czynnym aktorem.

Skoro szanowna Redakcya łaskawie zamieścić raczyła pierwsze me wspomnienia „Polowanie na jarząbki“, spieszę z dalszemi, starając się odgrzebać prawdziwe w mojej pamięci. Pragnę zapoznać braci myśliwych z rzeczywistym zmysłem łowieckim prawie jeszcze dzikich, właściwych mieszkańców śniegowych i lesistych krajów Syberyi, Tunguzów, Ostjaków i t. d.

Wszystkie ludy, pierwotnie zamieszkujące tę część Azyi, należą do plemienia mongolskiego, z wystającemi kośćmi licowemi i ukośnemi oczodołami. Wzrost ich niski, najwyżej do średniego dochodzący, włosy przeważnie ciemne, proste, układ kostny odpowiedni, szczupli są, chudzi, mięśnie zwykle nie źle rozwinięte, otyłych i siłaczy pomiędzy nimi nie spotykałem; dość zręczni i zwinni, choć w ruchach leniwi, ale za to nie do uwierzenia wytrwali w marszu i na zmiany temperatury i pogody. Ubior ich zimowy stanowi koszula (sakui) ze skóry renifera, z włosem na zewnątrz, często z kapturem i rękawami, szyta igłami renifera. Koszula ta, często nawet artystycznie w pewien deseń wyszywana, szczególnie u dołu, około szyi i w końcach rękawów, drobnemi kawałkami skóry różnokolorowym włosem pokrytemi. Buty (ontai) również wzorzysto często przybrane, podeszwa z jeleniej skóry na kształt surowca wyprawnej, przyszwa i cholewy z skóry z nóg renifera, krótkim, mocnym włosem pokrytej, sięgają po za kolana, rzemykami do pasa przyczepionymi podtrzymywane i takimiż pod kolanem i u kostek przewiązane. Średnia część ubrania, z wyprawnej cienkiej skóry bez włosa, jak u nas na rękawiczki jelonkowe. Wyprawa tak dobra jak u nas. Posiadam skórę rena od lat 16tu a jeszcze miękka jak nowa. Letnie ubranie Tunguza różni się tylko tem, że jest bez włosów. Sakui (koszula) ujęta w stanie pasem rzemiennym, u którego wisi nóż w pochwie głębokiej, do połowy rękojeści, torebka z tytuniem i krzesiwo, tudzież przyczepiona pochwa na fajeczkę (gemsę) dziwnego

kształtu. Fajka sama żelazna, podobna do miseczki żołędzia, stale osadzona na takimże cybuszku długości około $^1/_3$ mtr.

Gdy Tunguz uzbrojony łukiem, przez ramię wisi wzorzysty sajdak ze strzałami, w ręku łuk, a na drugiem ramieniu nosi palmę. Łuk wielki na $1^1/_2$ i więcej metra; drzewo jak i środek cięciwy, ukręconej z żył rena, oklejony skórką brzozy, dla gładkości i ochrony, by się cięciwa przy wyrzucaniu strzał nie darła. Cięciwa, którą posiadam, ma 1 mtr. 70 cm. długości. Groty strzał żelazne, w kształcie wąskiego wielkiego Y. Wielkość zależy od zwierza na jakiego polują. Największy grot, jaki widziałem i posiadam, z końcem do osady, wynosi $12^1/_2$ cm. Ramiona wewnątrz ostre, zewnątrz tępe. $5^1/_2$ cm. Rozwartość ramion w górnym końcu 3 cm., w dolnym $^1/_2$ cm. To są rozmiary grotu na niedźwiedzia i w ogóle na wielkiego zwierza. Drugi grot ma długości $9^1/_2$ cm. takichże kształtów, służy do mniejszej zwierzyny i ptactwa, jak głuszców, gęsi, łabędzi, kaczek i t. d. Na sobole, kuny leśne (kałanki), wiewiórki (białki), których futro pod imieniem popielic znamy, używają Tunguzi i Ostjacy innego rodzaju grotu, tamar zwanego. Jest to jakby duża gałka laski, z wierzchu część rogowa lub z kości mamuta, często rzeźbione. Używają tamaru dla tego, by nie psuć skóry. Groty tu opisane, osadzone bywają na prętach z cedru lub brzozy, równo wystruganych, długości od 50 — 70 cm., w przeciwnym grotowi końcu twardemi piórkami ustrojonych, celem równiejszego lotu strzały. Mój tamar posiada zakończenie z rogu rena. Przy wyrzucaniu strzały, strzelający z łuku musi opatrzyć rękę lewą rynienką, z rogu lub kości mamuta, 11 cm. długą, $6^1/_2$ cm. szeroką, na wypukłej swej zewnętrznej powierzchni rzeźbą ozdobionej, wewnątrz gładkiej, do ręki zastosowanej, przywiązuje się ją rzemykiem. Ochrona ta niezbędna, w przeciwnym bowiem razie cięciwa rozcina skórę. Rynienka, którą posiadam, jest z rogu rena, rzeźbiona w arabeski, widoczne na niej ślady długoletniej służby. Z łuku bić można pewnie na 40 do 60 kroków, co zależy od sprężystości łuku, wprawy i siły strzelającego. Palma, jestto nóż mocny, gruby u nasady jednostronny, w górze po obu stronach ostry, 6 do 8 cm. szeroki, 25 do 30 długi, osadzony na drzewcu stosownej grubości, oklejonym korą brzozową, co mu dodaje mocy. Drzewiec długi 1·70 do 2 metrów, przy osadzie noża żyłami renifera przywiązany silnie poprzeczny klocek, długi na 15 cm., niedozwalający dalej zagłębiać się grotowi. Jeśli Tunguz jest posiadaczem gwintówki, to zamiast sajdaka zawiesza na sobie natruskę t. j. rożek z prochem i woreczek z kulami. Palmą i ci zwykle uzbrojeni. Gwintówka (wintowka) jestto sztucer o lufie bardzo grubej z nader małym kalibrem, tak, że z funta ołowiu bywa do 90-ciu kulek. Przeważnie między Tunguzami spotykałem skałkówki. Niektóre gwintówki widziałem tak ciężkie, iż do strzału a raczej zmierzenia nieodzowna podpora (wiłki), którą właściciel strzelby musi nosić z sobą lub wozić na reniferze. Prochu na nabój, wraz z podsypką na panewkę używają tak mało, że jeden z mych znajomych, braciszek od Bernardynów, więcej sypał tabaki na jedno zażycie, do swej własnej dubeltówki, poważnie sterczącej na pulchnej i rumianej twarzy, a co do wystrzału, to w huku różnicy nie było. Gwintówka czasem spaliła na panewce, a i braciszek nie zawsze kichnął. Tak małym nabojem, wbiwszy kulkę wprost na proch, można było sięgnąć centrownie i dość silnie na 60 do 80 kroków.

Kończąc tem opis kostiumu i uzbrojenia, muszę jeszcze dodać słów kilka o psach i sposobach transportu w wyprawach myśliwskich tajożnych, przez tuziemców używanych. Pies to $^1/_3$ a nawet połowa myśliwego w tajdze, szczególniej pies tunguzki. Wielkości średnich naszych owczarków, maści zazwyczaj czarnej, czasem z białemi łatami i podpalany podobnie jak ogary. Pyszczek cienki, dość długi, uszy stojące, spore, ostro zakończone, szerść długa gładko ułożona, na zimę więcej puszysta, oczy bystre, nóżki cienkie, cała budowa zgrabna, w ruchach bardzo zwinny, nadzwyczaj czujny i obdarzony wyśmienitym wiatrem, ogon zakręcony puszysty. Tu widoczna prawda przysłowia „jaki pan, taki kram“, bo i psa tłustego, ciężkiego, nie widziałem, z tego powodu mniej zapada w śniegu od innych gatunków. Zadaniem jego głównem jest, wyszukanie w gąszczach tajożnych zwierzyny i oznajmienie myśliwemu zwykłem szczekaniem, gdzie zdobycz się znajduje. Zabawnie wygląda psina siedząca spokojnie pod drzewem z łbem podniesionym, wzrokiem utkwionym w konary drzewa, na którym schronił się sobol, kałanek lub biełka, a często i głuszec. Od czasu do czasu naszczekując lekko, zwraca na siebie całą uwagę zwierzyny, przez co pozwala zbliżyć się myśliwemu nieraz na bardzo małą odległość. Zwiastując o grubszej zwierzynie, ma sposób głoszenia silniejszy i częstszy. Rzadko głosem goni zwierza. W miejscowości, gdzie byłem, w kopalniach złota, już naszego 25. Września 1867 r. brodziłem w śniegu po kolana za jarząbkami, później w Październiku i Listopadzie, głębokość śniegu dochodziła bez przesady do 2-ch i więcej metrów. Śnieg sypki, pulchny, wymaga koniecznie łyży. Są to deseczki cienkie na $^1/_2$ cm. najczęściej cedrowe lub z modrzewia, szerokości około 20 cm. a długie powinne być tak (według Tunguzów), by postawione na ziemi, górnym końcem dosięgały nosa, końce a szczególniej przednie lekko ku górze zagięte. Deseczek tych dolną powierzchnię zwykle oklejają skórą z nóg renifera, krótkim a bardzo mocnym włosem pokrytą, kierunek włosa ku tyłowi. Na środku długości jest stale, bardzo wygodnie na nogi zakładające się z rzemyków utwierdzenie, w którem stopa, z łatwością wszelkie ruchy wykonywać może tak, że chodzenie na łyżach, przy jakiej takiej wprawie, wcale nie męczy. W miejscu, gdzie stopa się opiera, deseczka nieco grubsza. Ostrożność jednak co do ruchu stopy, zachować koniecznie należy, jeśli bowiem myśliwy zapomni, że jest w tajdze na łyżach, utrzymujących go na powierzchni śniegu i stanie w trzeciej pozycyi, wówczas przy pierwszym najmniejszym ruchu znika z widowni, wystają tylko nad białym całunem części łyż, robiąc drobne i niepewne ruchy, bo cały zagłębia się głową na dół. Im więcej stara się wydobyć, tem głębiej w puch śniegowy zapada. Jedyny ratunek, uwolnić choć jedną stopę, co daje się uskutecznić, po odpoczynku dość łatwo, lecz nie na pierwszy raz, lecz dopiero wtedy, gdy się ma trochę doświadczenia i zimnej krwi. Sam po raz pierwszy, gdym spód łyż na świat wystawił, męczyłem się z godzinę nim zdołałem uwolnić nogę, następnie już z łatwością można się było na powierzchnię wydostać. Gdy są towarzysze, to przy pomocy ich nie grozi tak długie przebywanie w zmarzniętym puchu. Przy chodzeniu na łyżach, gdy teren jest nierówny, nieodzowny jest drążek do 2-ch mtr. długi i na jednym końcu opatrzony hakiem żelaznym, a na drugim krążkiem drewnianym, przymocowanym do drążka silnie za pomocą rzemyków. Przy wstę-

powaniu na pochyłości, włos krótki a mocny spodu łyż nie pozwala się im cofać, zwłaszcza, jeśli idący jeszcze podpiera się drążkiem (końcem z kółkiem), lub chwyta wyżej stojące drzewa krukiem. Zchodząc z góry, siada na drążek jak na konia zanurzając mniej lub więcej w śnieg krążek i tym sposobem hamuje bardzo bystry pęd łyż. Wprawniejsi nie jeżdżą wierzchem na drążku, lecz trzymają go jak wiosło z boku i tym sposobem ułatwiają sobie jazdę o wiele więcej, bowiem ta manipulacya wpływa i na kierowanie. Łyże służą do transportu osoby myśliwego z bronią, i nim są już dostatecznie obciążone, pakunki zaś t. j. zapas żywności, kociołek jeden na herbatę, drugi do gotowania jedzenia, łopaty, siekiery i t. p. także wory ze skór renich, służące za wyśmienite numera i łoża, w tajożnym hotelu pod słońcem, księżycem w pogodę, a pod drzewem podczas zadymki, pakunki te wiozą się na nartach t. j. sankach bardzo lekkich, o szerokich płozach (smyki) nieco grubszych i węższych jak łyże i prawie tak długich, z więcej zawiniętymi nosami (przodem). Na tych smykach (płozach) na wysokich stramach (kopyłach) utwierdzony mocno kosz dość płytki, w który składają się bagaże, a nawet i siąść można, gdy kto ma krótsze rozmiary jak moje. Narty bywają ciągnione przez człowieka lub gdy śnieg już się trochę uleży i stwardnieje, przez rena.

Noclegi i popasy w myśliwskiej wyprawie zimowej, odbywaliśmy w tajdze zazwyczaj pod wykrotami, a w czasie niepogody pod jaką łaskawą, podeszłego wieku jodłą, której wielkie gałęzie, objuczone grubym pokładem śniegu, ugięte jego ciężarem, dostatecznie zakrywały nas podczas zamieci. Ognisko zakładaliśmy, odgrzebując przy wykrotach śnieg łopatami, na starych pniach lub skałach. Ustawiało się koziołek, nad ogniem zawieszało kotły, w jednym warząc czaj, najczęściej kirpiczny (cegiełkowy) a w drugim część upolowanej w drodze zwierzyny. Usławszy sobie grube, z gałązek iglastych siedzenia w około ogniska, wyczekując na posiłek, gwarzyliśmy wesoło, opowiadając przygody z przeszłych wypraw, lub czyniąc projekta i plany obecnej i przyszłych. Pożywiwszy się, każdy z nas nasuwał kaptur sakuja na głowę, a posławszy znów grubo gałęzie na śniegu, gdy nie było ochrony na głowę pod drzewem, budował sobie maleńkie dla tejże schronienie, wchodził i zasznurowywał się w swój wór aż pod szyję, co niezmiernie komiczny przedstawiało obraz, wyglądaliśmy bowiem z ludzi przeistoczeni kształtem w bałwany. Ubawiwszy się do woli własnym widokiem, padaliśmy na posłanie, wydające się nam wówczas królewskiem; zasypialiśmy czasem nie wiedząc nawet o blisko trzydziesto-stopniowym mrozie, co rankiem stwierdzał często z sobą na wyprawę zabierany termometr. Gdy mróz nie był znaczny, lub śnieg padał, to w naszych numerach było za gorąco, musieliśmy wtedy lufciki otwierać t. j. rozsznurować nasze wory. Szczególniej bywało gorąco, gdy śnieg padał i przykrył nas jak pierzyną. Wówczas kto się pierwszy ocknął, a usiadłszy rzucił okiem na miejsca, gdzie spoczywali drudzy, nie zauważywszy że sam grubo zasypany, szukał w około towarzyszów. I mnie to chwilowo zaniepokoiło, gdy pierwszy raz znalazłem się w takiem położeniu, lecz wyśmiano mnie, gdym się przyznał, naturalnie oddałem to innemu na drugi raz z procentem.

(Dokończenie nastąpi).

O HODOWLI KRÓLIKÓW*).

Kiedy w roku zeszłym wybuchła tak zwana „wojna o mięso“, a paląca kwestya podrożenia tegoż była na porządku dziennym, stawałam często, potrząsając głową, nad moimi królikami i dziwiłam się zaślepieniu ludzi, którzy również łatwo jak i ja mogliby mieć podostatkiem delikatnego mięsa, a jednak dzięki niepojętej zaiste nieporadności, nie umieją czy też nie chcą wziąć się do rzeczy. We Francyi dzieje się inaczej. Ażeby dać pojęcie o olbrzymiej masie mięsa, jakiej dostarcza francuskiej ludności tak zaniedbana u nas hodowla królików, przytoczę dane statystyczne za lat dziesięć, wyrażające ilość tych zwierząt, sprzedanych jedynie w hallach Paryża.

Rok	Ilość sztuk	Cena przeciętna za sztukę
1872	2,704.125	1·87 frank
1873	2,643.194	1·93 „
1874	1,281.017	2·09 „
1875	1,303.669	2·58 „
1876	1,413·306	2·74 „
1877	1,605.979	2·98 „
1878	1,640.086	2·95 „
1879	1,897.343	3·05 „
1880	2,569.373	3·17 „
1882	3,702.239	3·18 „

Cyfry te nie tyczą się królików sprzedanych z wolnej ręki, ani tych, które liczni hodowcy podmiejscy przesyłają wprost swoim klientom; nie wchodzą tu wreszcie wielkie ilości, które konsumuje prowincya, a jednak już powyższe cyfry przedstawiają poważną sumę 5 milionów franków rocznie. Suma ta podzielona na niezliczone cząsteczki, służy do ułatwienia znacznej liczbie osób ciężkiej walki o chleb powszedni. Przeciętnie żywą wagę królika, sprzedanego w hallach, obliczono na $3^1/_2$ kilogr. ($8^1/_4$ funta), zważyłam na próbę czteromiesięcznego, średnio-tłustego królika i otrzymałam następujący rezultat: żywy lub świeżo zarznięty ważył około $3^3/_4$ kg., mięso zaś po odrzuceniu wszystkich niezdatnych do jedzenia części, ważyło $2^1/_2$ kg. ($6^1/_4$ funta). Oprócz mięsa zyskuje się jeszcze kapitał, stanowiący wartość skórek. Ze źródeł urzędowych i ze sprawozdań handlowych, umieszczanych przez p. Rath w „Rocznikach rolniczych“ okazuje się, że wywóz włosów króliczych z Francyi w 1864 wyniósł 1,067.000 klg. (66.680 pudów), a że w kraju zużytkowano 1,027.000 kg. (64.180 pudów), ogólna przeto produkcya wynosiła 2,094.000 kg. (130.860 pudów). Ponieważ ze stu skórek otrzymuje się przeciętnie 3 kg. ($7^1/_2$ fnt.) włosów, więc na owe 2,094.000 kg. złożyło się 70,000.000 skórek. Skórki dzikich królików stanowią zaledwie $^1/_{10}$ część całej ilości, do której natomiast doliczyć trzeba co najmniej 1,200.000 sztuk skórek

*) Artykuł p. Jenny Zink, umieszczony w „Wiener landwirthschaftliche Zeitung“.

królików domowych, które w stanie zupełnie gotowym t. j. wyprawione, ufarbowane i t. d. idą za granicę, a głównie do Niemiec, na futra. Nie będzie zatem wcale przesadą, jeżeli przyjmiemy, że w r. 1864 wyprodukowano i skonsumowano we Francyi 70,000.000 królików domowych, co podług obliczeń p. Ratha przedstawia wartość 192,500.000 franków. A w Austryi?

Z prawdziwą radością powitałam myśl c. k. Towarzystwa Gospodarstwa wiejskiego (w Wiedniu), które na ostatniej wystawie bydła tuczonego nie zapomniało o króliku. „Nareszcie hodowla krajowa królików wyjrzy na światło dzienne, będzie przynajmniej na co popatrzeć, znajdą się i naśladowcy“, tak myślałam sobie, ale stało się inaczej. Na całą monarchię znalazło się zaledwie dwóch wystawców (w tej liczbie i moja osoba) z 9 królikami, z których 3 należało do rasy angora, hodowanej jedynie dla pięknych włosów, nie zaś dla mięsa. Zdaje się nawet, że sędziowie nie byli dostatecznie obznajomieni z tym przedmiotem, jeżeli nie chcieli wierzyć, żeby siedmiomiesięcznego królika można było jedynie przez staranne tuczenie doprowadzić do wagi 11 funtów.

Bądź co bądź, ze względu na ten ujemny rezultat oddział królików opuszczono zupełnie w programie przyszłej wystawy, co zdaniem mojem jest wielkim błędem. Któż bowiem jest więcej obowiązanym do rozpowszechniania dobrze procentującej gałęzi hodowli, jak właśnie towarzystwa gospodarstwa wiejskiego. Zamiast zrażać się pierwszem niepowodzeniem, czy nie byłoby właściwiej obiecać na przyszłość więcej odznaczeń, więcej nagród, zachęcać, podniecać, zmuszać niejako do usiłowań w tym kierunku. C. k. Towarzystwo wiedeńskie jest bezwarunkowo najpoważniejszą podobną instytucyą w całem państwie; przed forum jego wytaczają się i czas mu zajmują sprawy największej wagi, od których zależy szczęście lub niedola gospodarzy wiejskich, a królik jest tylko małem stworzonkiem, przeznaczonem głównie na to, aby przynosił korzyść maluczkim. Jest przeto może rzeczą zuchwałą żądać tak wielkich względów dla czegoś co jest tak małem pozornie. Pomimo to zdaje mi się, że kwestye tego rodzaju wiążą się ściśle z najżywotniejszym punktem austryackiego gospodarstwa narodowego. Państwo austryackie, obdarzone od natury wszelkiego rodzaju bogactwami, przez długi czas nie potrzebowało oglądać się troskliwie i oszczędzać, jak inne gęściej zaludnione kraje. Ten brak myśli o jutrze, to niezwracanie uwagi na rzeczy drobne, cechuje całą ludność monarchii. Jedne tylko Czechy, zmuszone do tego gęstem niezmiernie zaludnieniem, stanowią wyjątek. Ale dzisiaj przeszedł już i dla szczęśliwej Austryi czas błogiego „*dolce far niente*“. Dzisiaj nie ma drobnostek, dziś ze wszystkiego wyciągać należy korzyść, ażeby cegiełka po cegiełce składały się na gmach dobrobytu krajowego.. A do tego przyczynić się może w mowie będące zwierzątko. Przytoczone na początku dane statystyczne, tyczące się hodowli królików we Francyi, przemawiają zbyt wyraźnie, ażebyśmy nie mieli sprobować tego u siebie.

Po tych uwagach wstępnych, nie od rzeczy będzie powiedzieć, w jaki sposób cel powyższy da się osiągnąć i jak należy hodować króliki, aby one mogły zdobić nasze stoły i mile łechtać podniebienie. Tu leży główny punkt sprawy, a ponieważ w tej kwestyi błędne poglądy bardzo są rozpowszechnione, więc przedewszystkiem zajmę się tym przedmiotem.

Nieprzyjemny, a nawet wstrętny, słodkawy smak mięsa pospolitych królików domowych, wprowadza w błąd wiele bardzo osób, które nie mają wyobrażenia o mięsie królików, hodowanych we Francyi i w Belgii pod nazwą „olbrzymów belgijskich“ i Belierów. Ile razy mówiono mi: „no mnie pani nie namówi do jedzenia królików“, a jednak zawsze potem odnosiłam zwycięztwo, gdy najzaciętszych przeciwników przekonałam dowodnie, że to co pod nazwą kotletów z kurcząt, pieczeni jagnięcej i t. p. tak wybornie im smakowało, chodziło kiedyś w króliczej skórce. Proszę mi wierzyć, bo chociaż pod niektórymi względami jestem może nieco *bas bleu*, jak powiadają francuzi, to jednak zbyt wielką cenę przywiązuję do sławy dobrej gospodyni, abym chciała sobie szkodzić, częstując gości lichem mięsem. Powtarzam więc wyraźnie, że mięso młodego królika ma smak kurczęcia, mięsa zaś dorosłego królika wprost niepodobna odróżnić od jagnięciny. Ztąd ogólna zasada kucharska, że do wszystkiego, do czego używa się kurcząt lub jagnięciny, można użyć królików, a najwprawniejsze podniebienie weźmie jedno za drugie.

Teraz co się tyczy hodowli. Nie ma najmniejszej potrzeby próbować hodowli rozmaitych gatunków. Jeżeli chcemy mieć dużo dobrego i taniego mięsa, to powinniśmy hodować jedynie olbrzymy belgijskie lub Beliery. Pierwsze t. j. olbrzymy belgijskie w wieku od 6 do 8 miesięcy są wzrostu dużego zająca, później znacznie go przewyższają, starannie zaś pielęgnowane i tuczone dochodzą 8 — 9 kg., przeciętnie ważą od 5 — 6 kg. Maść ich przybiera wszystkie odcienia brunatne od żółtawego do szaro-niebieskawego. Tu i owdzie zdarzają się albinosy. Kolor włosów nie wpływa zupełnie na płodność lub wydajność mięsa. Jedynymi, względami, które mogą stanowić o tem, jakiej maści należy oddać pierwszeństwo, są: zapotrzebowanie skórek pewnego określonego koloru (zresztą zapotrzebowanie to zmienia się bardzo często) i gust osobisty hodowcy. Za szczególne znamię czystości rasy olbrzymów belgijskich uważają powszechnie białe plamki na szyi i nogach, nie zdarzyło mi się jednak nigdy zauważyć, aby zwierzęta posiadające takie łatki, miały jakąkolwiek wyższość nad innemi. Istotnie charakterystyczną cechą olbrzymów belgijskich są uszy, z których jedno zawsze stoi, podczas gdy drugie zwiesza się na dół. U Belierów natomiast uszy są jednakowo pochylone nad głową, co zwierzętom tym nadaje pewne podobieństwo do baranów, którym też zawdzięczają swą francuską nazwę. Co się tyczy maści, to dwie te rasy nie różnią się wcale, ale olbrzym belgijski przewyższa znacznie Beliera płodnością, wzrostem, wytrzymałością i niewybrednością. Kto chce hodować rasę angora, dającą piękne włosy, musi zadowolić się mniejszą ilością mięsa. Zresztą rasa angora hoduje się równie łatwo, jak dwie wyżej wymienione, tylko jeszcze więcej trzeba uważać, aby posłanie było zawsze suche i czyste. Włosy otrzymują się przez częste czesanie i skubanie grzbietu, włosy pochodzące z brzucha nie nadają się do użytku.

Przy wyborze exemplarzy rozpłodowych należy zwracać uwagę, ażeby samiec miał głowę stożkowatą, przytępioną, policzki wystające, pierś szeroką, nogi tylne silnie zbudowane, wzrok ognisty i bardzo żywy temperament. Co do tego ostatniego, łatwo go poznać po silnem tupaniu tylnemi nogami, gdy zwierzę jest przestraszone. Samica powinna mieć głowę zaostrzoną i miednicę dobrze rozwiniętą tak, ażeby uda znacznie się rozchodziły. Zad powi-

nien być duży i zaokrąglony, podbródek zaś dobrze ukształtowany i tworzyć rodzaj żabotu. Nie ma oznak, po których możnaby na pewne oznaczyć wiek dorosłego królika, często zdarzało mi się widzieć u jednorocznych zwierząt długie bardzo pazury. Kwestya czy samica zdatną jest do rozpłodu, rozstrzyga się zwykle po drugim porodzie, ponieważ wtedy dopiero gruczoły mleczne formują się ostatecznie. Samice, których młode i za drugim razem nędznie się rozwinęły, przeznaczam zwykle na rzeź, chociażby z pozoru były najpiękniejsze; zresztą króliki mnożą się tak szybko, że z wyborem reproduktorów nigdy nie może być wielkiego kłopotu. Na rzeź również przeznaczam owe wyrodne matki, co pożerają swoje własne dzieci, a zdarza się to czasami. Początkujący, którzyby sobie nie życzyli poświęcać od razu samicy, mogą spróbować następującego środka. Niedługo przed porodem, którego zbliżanie poznaje się po nabrzmieniu piersi i ożywionej pracy około budowy gniazda (do budowy tej używa samica słomy, którą następnie wyściela włosami, wyskubanymi z własnej piersi), należy rozwinąć wielką czujność tak, ażeby można było wziąć młode od matki natychmiast po urodzeniu, włożyć je do garnka napełnionego pierzem lub watą i postawić gdziekolwiek w ciepłem miejscu. Po skończonym porodzie matce dać obficie jęczmienia lub innego jakiego pokarmu, powodującego wydzielanie się mleka, napoić ją samą mlekiem, dopiero po upływie paru godzin włożyć młode nazad do gniazda. Rzadko się zdarza, aby przy takich środkach ostrożności młode zostały pożarte.

Młode, na rzeź przeznaczone króliki należy pozostawić przy matce 4 — 5 tygodni, te zaś, które zamierzamy hodować, najmniej przez 2 miesiące. W ogóle dłuższy lub krótszy okres ssania zależy od tego, co hodowca ma na celu. Jeżeli mu chodzi o to, aby się zwierzęta jak najprędzej rozmnożyły, to powinien odłączyć młode, jak tylko będą w stanie jeść same i puścić znowu króla do samicy. Można to uczynić nawet natychmiast po porodzie, gdyż wtedy samica przyjmuje najłatwiej (samica królika posiada podwójną macicę) tak, iż po upływie 4 tygodni następuje znowu poród. Liczba młodych waha się pomiędzy 1 i 12, ale jeżeli jest ich więcej, niż 5 — 6, to matka nie może im dostarczyć dostatecznej ilości pokarmu; to też rozsądni hodowcy niszczą słabsze sztuki lub też rozdzielają je pomiędzy samice, obarczone mniejszą liczbą młodych. Przerwy w mnożeniu właściwie mówiąc nie ma zupełnie, dobrze jest jednak dać zwierzętom odpocząć nieco podczas zimy. Zbyt forsownie prowadzona hodowla wyniszcza zanadto samice, a wskutek tego i młode są mniejsze i słabsze, gdyż muszą się dzielić pożywieniem z rodzeństwem, które jeszcze się nie urodziło. Trzeba więc wybierać jedno z dwojga, albo częstsze pokoty a mniejsze zwierzęta, albo rzadsze pokoty ale za to większe, lepiej rozwinięte exemplarze. W trzecim miesiącu obudza się w młodych zwierzętach popęd płciowy; od tego czasu osobniki płci odmiennej nie powinny być trzymane razem. W szóstym miesiącu można je już łączyć, trzymając się jednak prawidła: im mniej, tem lepiej. U mnie samica musi wprzód skończyć 8 miesięcy i to w takim razie, jeżeli przychowek przeznacza się na rzeź, albowiem samice, które mają dostarczyć reproduktorów, muszą mieć 12 miesięcy skończonych. Te same prawidła tyczą się i samca, chociaż w ogóle samcy dojrzewają wcześniej niż samice. Jeden samiec wystarcza na 10 do 15 samic, zawsze jednak na wszelki przypadek należy mieć drugiego zapasowego. Zwykle wystarcza pozostawić samicę przez godzinę lub dwie w jednem pomieszczeniu z samcem, aby została kotną, szczególnie w tym czasie, gdy nie będąc wcale kotną, wyrywa sobie włosy i buduje gniazdo. Samice, które trudno przyjmują, należy zamknąć z samcem na trzy tygodnie. Jeżeli po upływie tego czasu nie będzie skutku, to znaczy, że z jakiegoś powodu samica nie może być zapłodnioną. Zdarza się to jednak rzadziej z winy samic, niż samców, należy przeto dobrze obejrzeć każdego młodego samca, przeznaczonego na reproduktora, czy nie posiada jakiej wady, która go czyni niezdatnym do powyższego celu, co nawiasem mówiąc, dość często się przytrafia.

Samców przeznaczonych do tuczenia we Francyi zwykle kastrują. Przebieg operacyi, która odbywa się w ten sam sposób, co u świń, jest równie pomyślny, jak u tych ostatnich. U mnie samce nie kastrowane, lecz tylko odosobnione, tuczą się równie łatwo. W ogóle przyjąć należy za zasadę, że osobniki przeznaczone na reproduktorów, winny być jakościowo i ilościowo karmione nieco skąpiej, aniżeli zwierzęta przeznaczone na rzeź, chociaż i tych pierwszych głodzić nie należy. Jeżeli utuczyły się zanadto, to już nie schudną, a zdarza się to szczególnie u starych osobników. Reproduktorów używa się do lat 3—4, gdy przychowek zaczyna się wyradzać, znak to nieomylny, że rodziców należy zbrakować.

Co się tyczy pożywienia, to należy przedewszystkiem pamiętać, aby nigdy pod żadnym pozorem nie dawać paszy wilgotnej od deszczu lub rosy. W razie nie zastosowania się do tego prawidła, wszystkie króliki co do jednego, mogą wyginąć w ciągu kilku godzin, sama nieraz widziałam tego przykłady. Co jedzą króliki? Właściwie należałoby zapytać, czego nie jedzą. Wartość ekonomiczna królika polega głównie na tem, że prawie wszystko da się użyć na paszę dla niego. Zielsko wszelkiego rodzaju, mianowicie oset, wilcze mleko *taraxacum officinale*, (mniszek lekarski, anyż, koper, estragon, wszystkie gatunki mięty, dziki tymianek, macierzanka i t. p., są to wszystko delikatesy dla króliczego podniebienia; niektóre z tych ziół nadają mięsu szczególnie przyjemny smak. Liście, trawa, wyka, wszystkie gatunki koniczyny, a szczególnie esparcetla, odpadki z ogrodu warzywnego (z wyjątkiem zbyt wielkiej ilości sałaty, która wywołać może dyaryę), w zimie gałązki sosny i jałowcu, siano, suszone liście selerowe (te ostatnie użyte jako przyprawa są szczególnie zdrowe), buraki drobno pokrajane i wszelkie rośliny okopowe, wreszcie otręby pszenne z solą i polewka z mąki, wszystko to dawane w niezbyt wielkich ilościach wystarcza najzupełniej do znakomitego odżywiania królików. Tylko samicom karmiącym młode i zwierzętom przeznaczonym na rzeź, daje się zimową porą nieco ziarna i ciepłego mleka, chociaż nie każde zwierzę będzie je piło. Pić nie daje się królikom wcale, zatem wystarcza im woda zawarta w zielonej paszy, w zimie zaś woda, którą przyjmują wraz z polewką, otrębami parzonemi i roślinami okopowemi. Przy paszy zimowej, składającej się wyłącznie z siana (co jest bardzo nieracyonalnem) należy dać czasem trochę wody lub mleka. W ogóle trzymać się należy zasady, żeby jak najczęściej zmieniać i urozmaicać pokarmy. Im rozmaitszą jest pasza, im częstsza zmiana, tem więcej mogą zwierzęta zjeść. Wystrzegać się jednak należy, aby nie dawać od razu zbyt wielkiego wyboru, ponieważ przez to stają się króliki wy-

brednymi i z pewnością więcej zmarnują niż zjedzą. Najwłaściwiej jest dawać paszę trzy razy dziennie i to w takiej ilości, aby mniej-więcej wystarczyła do następnego karmienia. Równie ostrożnie należy przechodzić od paszy zimowej do zielonej. Króliki wolą tę ostatnią, to też bardzo łatwo mogą się wtedy przejeść i dostać wzdęcia, szczególnie po młodej koniczynie czerwonej. Jak tylko śniegi stopnieją, każę na ugorzyskach po koniczynie wyszukiwać brodownik mleczowy i wyrwać go wraz z korzeniem, do tego dodaje się nieco młodej pokrzywy, a później wyki kokoszej i wreszcie młodego ostu, tym sposobem pasza zielona jest już skompletowaną.

Chociaż jestem głęboko przekonaną, że hodowla królików (rozumie się tylko dobrych, dużych gatunków) może się dobrze opłacić, to jednak nie podzielam zdania wielu autorów, którzy twierdzą, że z hodowli tej wszędzie a zatem i w wielkich miastach można ciągnąć znaczne zyski. W mieście, gdzie za każdy zielony listek trzeba płacić gotówką, gdzie tyle kosztuje każdy łokieć miejsca, utrzymanie królika wypada zbyt drogo. Zupełnie co innego jest na wsi, a szczególnie tam, gdzie dużo dzieci, rodzina taka może bez wielkich kosztów wyhodować rocznie do 100 sztuk królików. Na pomieszczenie, o którem później będzie mowa, znajdzie się zawsze jaki kącik, a dzieci bawiąc się po ogrodach i zaroślach, mogą gromadzić powoli zapasy paszy i materyałów potrzebnych do budowy gniazd, jakoto: mchu, suchych liści, ziemi, odpadków torfowych i t. d. Ileż to szkodliwego zielska zniszczy się w ten sposób, a jest to wzgląd niezmiernie ważny.

Tysiące niezamożnych rodzin wyrobników, robotników fabrycznych i t. p. zapewniłyby sobie tym sposobem kawałek taniego i pożywnego mięsa, a oprócz tego mogłyby jeszcze mieć pewien dochód ze sprzedaży nawozu i skórek. Aby hodowla królików przyjęła się w Austryi, trzeba zachęcać do niej głównie młodzież, gdyż dorośli zbyt są zacofani i niezdarni, aby się mogli czegoś nowego nauczyć i poświęcić na to nieco pracy i cierpliwości. A nie ma chyba większego ulubieńca świata dziecięcego jak królik i staranie, jakiego wymaga jego hodowla, nie przechodzi prawie sił dziecięcych.

Zbytecznem chyba byłoby rozwodzić się nad tem, ile dobrego robi nauczyciel wiejski, zakładając n. p. szkółkę drzewek owocowych lub ogródek warzywny, gdzie dzieci w wolnych godzinach same o tem nie wiedząc, uczą się ogrodnictwa. Otóż sądzę, że w ten sam zupełnie sposób możnaby szczepić zamiłowanie do hodowli królików. Dzieci przedstawiają bardzo wdzięczny materyał, trzeba tylko umieć wziąć się do rzeczy. Rozbudzajmy w nich ambicyę, wyznaczmy nagrody dla tych, które najpilniej będą zbierały paszę, najstaranniej pielęgnowały powierzone sobie stworzenia. Ręczę, że każdy hodowca ustąpi chętnie na cel powyższy kilka sztuk rocznie po najbardziej zniżonej cenie. Gdyby rozmaite istniejące Stowarzyszenia hodowców królików, Towarzystwa gospodarstwa wiejskiego i tym podobne instytucye zechciały działać w tym duchu, sprawa bez wątpienia wzięłaby pomyślny obrot.

Pomieszczenie dla królików może być również rozmaite jak pasza. Najbardziej rozpowszechnionym, bo najdogodniejszym i najtańszym jest system skrzynkowy. Klatka, w której mogą się wygodnie pomieścić samiec z samicą lub samica z młodemi, powinna mieć jeden metr szerokości, tyleż długości i 75 cm. wysokości. Klatkę taką można sobie urządzić tanim kosztem w następujący sposób. Wziąć zwyczajną skrzynię drewnianą powyższych rozmiarów, przybić do jej dna z jednej strony listwę grubą na 4 cm. tak, aby się utworzył spadek do odpływu moczu, wyłożyć dno i boki na wysokość kilku cm. blachą cynkową, co ułatwia utrzymanie czystości i nadaje zarazem skrzyni większą trwałość. Kawałek tej blachy powinien wystawać nieco na zewnątrz, tę wystającą część zagiąć tak, aby się uformowała rynna o niewielkim spadku, a na końcu rynny umieścić naczynie, w które się ma zbierać mocz. Następnie ścianą poprzeczną podzielić cały lokal na dwie połowy. W ścianie tej wyciąć okrągły otwór dość duży, aby kotna samica mogła się przezeń przecisnąć i w każdym z przedziałów urządzić osobne drzwi. Jedne z tych drzwi, mianowicie prowadzące do przedziału, przeznaczonego na pomieszczenie paszy, powinny być zrobione z cienkich pręcików lub też składać się z ramy drewnianej, obciągniętej siatką drucianą tak, aby światło i powietrze miały wolny dostęp, drugie drzwi sklecone z desek nie powinny przepuszczać światła. W tym ciemnym przedziale samica buduje sobie gniazdo. Do bocznej ściany drugiego przedziału przytwierdza się nie wielki żłobek, do którego kładzie się pasza tego rodzaju jak siano, liście i t. p. Możnaby ostatecznie obejść się bez żłobka, ale w takim razie znaczna część paszy powala się i zmarnuje. Do ściany środkowej przymocowuje się kilka niedużych pudełek z blachy cynkowej w taki sposób, aby króliki nie mogły ich zrzucić, lecz zarazem tak, aby można je zdejmować i znowu zawieszać. Do tych pudełek sypie się ziarno, buraki krajane i t. d. Przy takiem urządzeniu nic się nie zmarnuje, a zarazem łatwo zmiarkować, czy się daje za dużo lub za mało pokarmu i czy zwierzęta mają normalny apetyt. Rzecz prosta, że pudełka trzeba utrzymywać bardzo czysto, w przeciwnym bowiem razie resztki organiczne zaczną fermentować. Również należy dobrze uważać, aby posłanie było zawsze suche i czyste. Jak tylko podściółka zmoknie, trzeba ją natychmiast wyrzucić i nałożyć świeżej ze słomy i wiorów. Nawóz otrzymany w powyższy sposób zdatny jest pod latorośle winne na zimnym gruncie, pod róże i pod wszystkie gatunki Brassica. Najpiękniejsze kalafiory otrzymuje się z zagonów, użyźnionych nawozem króliczym.

Skrzynie urządzone w powyższy sposób, można ustawić po trzy i cztery jedna na drugiej w jakimkolwiek kąciku, byleby nie wystawionym na przeciągi i wilgoć. Zimno nie szkodzi królikom, owszem pod wpływem niskiej temperatury futerko ich zyskuje na mocy i gęstości, ale wilgoć, przeciągi jak również mokra pasza zielona, to dla królika śmierć pewna. Jeżeli zdołamy ustrzedz ich od tych trzech wrogów, to możemy być pewni, że wszystko pójdzie dobrze.

Znakomite pomieszczenie dla królików można urządzić n. p. pod dachem chlewu. W tym celu należy pewną przestrzeń odgrodzić od reszty ścianami z desek, pozostawiając w nich nie wielkie otwory na drzwiczki. W takim lokalu można pomieścić znaczną liczbę królików, należy tylko wszystkie części drewniane, do których się mogą dostać zwierzęta, wysmarować dobrze dziegciem, aby ich nie pogryzły. Jeżeli mamy gdzie niezajęte stajnie, szopy i t. p. budowle, to możemy je zużytkować na pomieszczenie królików, ustawiwszy przy bocznych ścianach nieduże skrzynie, połowy beczek, w poprzek przepiłowanych, stare kosze i tym podobne graty, byleby zaopatrzone w otwory, wszystko to może doskonale zastąpić gniazda. Tym sposo-

nien być duży i zaokrąglony, podbródek zaś dobrze ukształtowany i tworzyć rodzaj żabotu. Nie ma oznak, po których możnaby na pewne oznaczyć wiek dorosłego królika, często zdarzało mi się widzieć u jednorocznych zwierząt długie bardzo pazury. Kwestya czy samica zdatną jest do rozpłodu, rozstrzyga się zwykle po drugim porodzie, ponieważ wtedy dopiero gruczoły mleczne formują się ostatecznie. Samice, których młode i za drugim razem nędznie się rozwinęły, przeznaczam zwykle na rzeź, chociażby z pozoru były najpiękniejsze; zresztą króliki mnożą się tak szybko, że z wyborem reproduktorów nigdy nie może być wielkiego kłopotu. Na rzeź również przeznaczam owe wyrodne matki, co pożerają swoje własne dzieci, a zdarza się to czasami. Początkujący, którzyby sobie nie życzyli poświęcać od razu samicy, mogą spróbować następującego środka. Niedługo przed porodem, którego zbliżanie poznaje się po nabrzmieniu piersi i ożywionej pracy około budowy gniazda (do budowy tej używa samica słomy, którą następnie wyściela włosami, wyskubanymi z własnej piersi), należy rozwinąć wielką czujność tak, ażeby można było wziąć młode od matki natychmiast po urodzeniu, włożyć je do garnka napełnionego pierzem lub watą i postawić gdziekolwiek w ciepłem miejscu. Po skończonym porodzie matce dać obficie jęczmienia lub innego jakiego pokarmu, powodującego wydzielanie się mleka, napoić ją samą mlekiem, dopiero po upływie paru godzin włożyć młode nazad do gniazda. Rzadko się zdarza, aby przy takich środkach ostrożności młode zostały pożarte.

Młode, na rzeź przeznaczone króliki należy pozostawić przy matce 4 — 5 tygodni, te zaś, które zamierzamy hodować, najmniej przez 2 miesiące. W ogóle dłuższy lub krótszy okres ssania zależy od tego, co hodowca ma na celu. Jeżeli mu chodzi o to, aby się zwierzęta jak najprędzej rozmnożyły, to powinien odłączyć młode, jak tylko będą w stanie jeść same i puścić znowu króla do samicy. Można to uczynić nawet natychmiast po porodzie, gdyż wtedy samica przyjmuje najłatwiej (samica królika posiada podwójną macicę) tak, iż po upływie 4 tygodni następuje znowu poród. Liczba młodych waha się pomiędzy 1 i 12, ale jeżeli jest ich więcej, niż 5 — 6, to matka nie może im dostarczyć dostatecznej ilości pokarmu; to też rozsądni hodowcy niszczą słabsze sztuki lub też rozdzielają je pomiędzy samice, obarczone mniejszą liczbą młodych. Przerwy w mnożeniu właściwie mówiąc nie ma zupełnie, dobrze jest jednak dać zwierzętom odpocząć nieco podczas zimy. Zbyt forsownie prowadzona hodowla wyniszcza zanadto samice, a wskutek tego i młode są mniejsze i słabsze, gdyż muszą się dzielić pożywieniem z rodzeństwem, które jeszcze się nie urodziło. Trzeba więc wybierać jedno z dwojga, albo częstsze pokoty a mniejsze zwierzęta, albo rzadsze pokoty ale za to większe, lepiej rozwinięte exemplarze. W trzecim miesiącu obudza się w młodych zwierzętach popęd płciowy; od tego czasu osobniki płci odmiennej nie powinny być trzymane razem. W szóstym miesiącu można je już łączyć, trzymając się jednak prawidła: im mniej, tem lepiej. U mnie samica musi wprzód skończyć 8 miesięcy i to w takim razie, jeżeli przychowek przeznacza się na rzeź, albowiem samice, które mają dostarczyć reproduktorów, muszą mieć 12 miesięcy skończonych. Te same prawidła tyczą się i samca, chociaż w ogóle samcy dojrzewają wcześniej niż samice. Jeden samiec wystarcza na 10 do 15 samic, zawsze jednak na wszelki przypadek należy mieć drugiego zapasowego. Zwykle wystarcza pozostawić samicę przez godzinę lub dwie w jednem pomieszczeniu z samcem, aby została kotną, szczególnie w tym czasie, gdy nie będąc wcale kotną, wyrywa sobie włosy i buduje gniazdo. Samice, które trudno przyjmują, należy zamknąć z samcem na trzy tygodnie. Jeżeli po upływie tego czasu nie będzie skutku, to znaczy, że z jakiegoś powodu samica nie może być zapłodnioną. Zdarza się to jednak rzadziej z winy samic, niż samców, należy przeto dobrze obejrzeć każdego młodego samca, przeznaczonego na reproduktora, czy nie posiada jakiej wady, która go czyni niezdatnym do powyższego celu, co nawiasem mówiąc, dość często się przytrafia.

Samców przeznaczonych do tuczenia we Francyi zwykle kastrują. Przebieg operacyi, która odbywa się w ten sam sposób, co u świń, jest równie pomyślny, jak u tych ostatnich. U mnie samce nie kastrowane, lecz tylko odosobnione, tuczą się równie łatwo. W ogóle przyjąć należy za zasadę, że osobniki przeznaczone na reproduktorów, winny być jakościowo i ilościowo karmione nieco skąpiej, aniżeli zwierzęta przeznaczone na rzeź, chociaż i tych pierwszych głodzić nie należy. Jeżeli utuczyły się zanadto, to już nie schudną, a zdarza się to szczególnie u starych osobników. Reproduktorów używa się do lat 3—4, gdy przychowek zaczyna się wyradzać, znak to nieomylny, że rodziców należy zbrakować.

Co się tyczy pożywienia, to należy przedewszystkiem pamiętać, aby nigdy pod żadnym pozorem nie dawać paszy wilgotnej od deszczu lub rosy. W razie nie zastosowania się do tego prawidła, wszystkie króliki co do jednego, mogą wyginąć w ciągu kilku godzin, sama nieraz widziałam tego przykłady. Co jedzą króliki? Właściwie należałoby zapytać, czego nie jedzą. Wartość ekonomiczna królika polega głównie na tem, że prawie wszystko da się użyć na paszę dla niego. Zielsko wszelkiego rodzaju, mianowicie oset, wilcze mleko *taraxacum officinale*, (mniszek lekarski, anyż, koper, estragon, wszystkie gatunki mięty, dziki tymianek, macierzanka i t. p., są to wszystko delikatesy dla króliczego podniebienia; niektóre z tych ziół nadają mięsu szczególnie przyjemny smak. Liście, trawa, wyka, wszystkie gatunki koniczyny, a szczególnie esparcetla, odpadki z ogrodu warzywnego (z wyjątkiem zbyt wielkiej ilości sałaty, która wywołać może dyaryę), w zimie gałązki sosny i jałowcu, siano, suszone liście selerowe (te ostatnie użyte jako przyprawa są szczególnie zdrowe), buraki drobno pokrajane i wszelkie rośliny okopowe, wreszcie otręby pszenne z solą i polewka z mąki, wszystko to dawane w niezbyt wielkich ilościach wystarcza najzupełniej do znakomitego odżywiania królików. Tylko samicom karmiącym młode i zwierzętom przeznaczonym na rzeź, daje się zimową porą nieco ziarna i ciepłego mleka, chociaż nie każde zwierzę będzie je piło. Pić nie daje się królikom wcale, zatem wystarcza im woda zawarta w zielonej paszy, w zimie zaś woda, którą przyjmują wraz z polewką, otrębami parzonemi i roślinami okopowemi. Przy paszy zimowej, składającej się wyłącznie z siana (co jest bardzo nieracyonalnem) należy dać czasem trochę wody lub mleka. W ogóle trzymać się należy zasady, żeby jak najczęściej zmieniać i urozmaicać pokarmy. Im rozmaitszą jest pasza, im częstsza zmiana, tem więcej mogą zwierzęta zjeść. Wystrzegać się jednak należy, aby nie dawać od razu zbyt wielkiego wyboru, ponieważ przez to stają się króliki wy-

brednymi i z pewnością więcej zmarnują niż zjedzą. Najwłaściwiej jest dawać paszę trzy razy dziennie i to w takiej ilości, aby mniej-więcej wystarczyła do następnego karmienia. Równie ostrożnie należy przechodzić od paszy zimowej do zielonej. Króliki wolą tę ostatnią, to też bardzo łatwo mogą się wtedy przejeść i dostać wzdęcia, szczególnie po młodej koniczynie czerwonej. Jak tylko śniegi stopnieją, każę na ugorzyskach po koniczynie wyszukiwać brodownik mleczowy i wyrwać go wraz z korzeniem, do tego dodaje się nieco młodej pokrzywy, a później wyki kokoszej i wreszcie młodego ostu, tym sposobem pasza zielona jest już skompletowaną.

Chociaż jestem głęboko przekonaną, że hodowla królików (rozumie się tylko dobrych, dużych gatunków) może się dobrze opłacić, to jednak nie podzielam zdania wielu autorów, którzy twierdzą, że z hodowli tej wszędzie a zatem i w wielkich miastach można ciągnąć znaczne zyski. W mieście, gdzie za każdy zielony listek trzeba płacić gotówką, gdzie tyle kosztuje każdy łokieć miejsca, utrzymanie królika wypada zbyt drogo. Zupełnie co innego jest na wsi, a szczególnie tam, gdzie dużo dzieci, rodzina taka może bez wielkich kosztów wyhodować rocznie do 100 sztuk królików. Na pomieszczenie, o którem później, będzie mowa, znajdzie się zawsze jaki kącik, a dzieci bawiąc się po ogrodach i zaroślach, mogą gromadzić powoli zapasy paszy i materyałów potrzebnych do budowy gniazd, jakoto: mchu, suchych liści, ziemi, odpadków torfowych i t. d. Ileż to szkodliwego zielska zniszczy się w ten sposób, a jest to wzgląd niezmiernie ważny.

Tysiące niezamożnych rodzin wyrobników, robotników fabrycznych i t. p. zapewniłyby sobie tym sposobem kawałek taniego i pożywnego mięsa, a oprócz tego mogłyby jeszcze mieć pewien dochód ze sprzedaży nawozu i skórek. Aby hodowla królików przyjęła się w Austryi, trzeba zachęcać do niej głównie młodzież, gdyż dorośli zbyt są zacofani i niezdarni, aby się mogli czegoś nowego nauczyć i poświęcić na to nieco pracy i cierpliwości. A nie ma chyba większego ulubieńca świata dziecięcego jak królik i staranie, jakiego wymaga jego hodowla, nie przechodzi prawie sił dziecięcych.

Zbytecznem chyba byłoby rozwodzić się nad tem, ile dobrego robi nauczyciel wiejski, zakładając n. p. szkółkę drzewek owocowych lub ogródek warzywny, gdzie dzieci w wolnych godzinach same o tem nie wiedząc, uczą się ogrodnictwa. Otóż sądzę, że w ten sam zupełnie sposób możnaby szczepić zamiłowanie do hodowli królików. Dzieci przedstawiają bardzo wdzięczny materyał, trzeba tylko umieć wziąć się do rzeczy. Rozbudzajmy w nich ambicyę, wyznaczmy nagrody dla tych, które najpilniej będą zbierały paszę, najstaranniej pielęgnowały powierzone sobie stworzenia. Ręczę, że każdy hodowca ustąpi chętnie na cel powyższy kilka sztuk rocznie po najbardziej zniżonej cenie. Gdyby rozmaite istniejące Stowarzyszenia hodowców królików, Towarzystwa gospodarstwa wiejskiego i tym podobne instytucye zechciały działać w tym duchu, sprawa bez wątpienia wzięłaby pomyślny obrot.

Pomieszczenie dla królików może być również rozmaite jak pasza. Najbardziej rozpowszechnionym, bo najdogodniejszym i najtańszym jest system skrzynkowy. Klatka, w której mogą się wygodnie pomieścić samiec z samicą lub samica z młodemi, powinna mieć jeden metr szerokości, tyleż długości i 75 cm. wysokości. Klatkę taką można sobie urządzić tanim kosztem w następujący sposób. Wziąć zwyczajną skrzynię drewnianą powyższych rozmiarów, przybić do jej dna z jednej strony listwę grubą na 4 cm. tak, aby się utworzył spadek do odpływu moczu, wyłożyć dno i boki na wysokość kilku cm. blachą cynkową, co ułatwia utrzymanie czystości i nadaje zarazem skrzyni większą trwałość. Kawałek tej blachy powinien wystawać nieco na zewnątrz, tę wystającą część zagiąć tak, aby się uformowała rynna o niewielkim spadku, a na końcu rynny umieścić naczynie, w które się ma zbierać mocz. Następnie ścianą poprzeczną podzielić cały lokal na dwie połowy. W ścianie tej wyciąć okrągły otwór dość duży, aby kotna samica mogła się przezeń przecisnąć i w każdym z przedziałów urządzić osobne drzwi. Jedne z tych drzwi, mianowicie prowadzące do przedziału, przeznaczonego na pomieszczenie paszy, powinny być zrobione z cienkich pręcików lub też składać się z ramy drewnianej, obciągniętej siatką drucianą tak, aby światło i powietrze miały wolny dostęp, drugie drzwi sklecone z desek nie powinny przepuszczać światła. W tym ciemnym przedziale samica buduje sobie gniazdo. Do bocznej ściany drugiego przedziału przytwierdza się nie wielki żłobek, do którego kładzie się pasza tego rodzaju jak siano, liście i t. p. Możnaby ostatecznie obejść się bez żłobka, ale w takim razie znaczna część paszy powala się i zmarnuje. Do ściany środkowej przymocowuje się kilka niedużych pudełek z blachy cynkowej w taki sposób, aby króliki nie mogły ich zrzucić, lecz zarazem tak, aby można je zdejmować i znowu zawieszać. Do tych pudełek sypie się ziarno, buraki krajane i t. d. Przy takiem urządzeniu nic się nie zmarnuje, a zarazem łatwo zmiarkować, czy się daje za dużo lub za mało pokarmu i czy zwierzęta mają normalny apetyt. Rzecz prosta, że pudełka trzeba utrzymywać bardzo czysto, w przeciwnym bowiem razie resztki organiczne zaczną fermentować. Również należy dobrze uważać, aby posłanie było zawsze suche i czyste. Jak tylko podściółka zmoknie, trzeba ją natychmiast wyrzucić i nałożyć świeżej ze słomy i wiorów. Nawóz otrzymany w powyższy sposób zdatny jest pod latorośle winne na zimnym gruncie, pod róże i pod wszystkie gatunki Brassica. Najpiękniejsze kalafiory otrzymuje się z zagonów, użyźnionych nawozem króliczym.

Skrzynie urządzone w powyższy sposób, można ustawić po trzy i cztery jedna na drugiej w jakimkolwiek kąciku, byleby nie wystawionym na przeciągi i wilgoć. Zimno nie szkodzi królikom, owszem pod wpływem niskiej temperatury futerko ich zyskuje na mocy i gęstości, ale wilgoć, przeciągi jak również mokra pasza zielona, to dla królika śmierć pewna. Jeżeli zdołamy ustrzedz ich od tych trzech wrogów, to możemy być pewni, że wszystko pójdzie dobrze.

Znakomite pomieszczenie dla królików można urządzić n. p. pod dachem chlewu. W tym celu należy pewną przestrzeń odgrodzić od reszty ścianami z desek, pozostawiając w nich nie wielkie otwory na drzwiczki. W takim lokalu można pomieścić znaczną liczbę królików, należy tylko wszystkie części drewniane, do których się mogą dostać zwierzęta, wysmarować dobrze dziegciem, aby ich nie pogryzły. Jeżeli mamy gdzie niezajęte stajnie, szopy i t. p. budowle, to możemy je zużytkować na pomieszczenie królików, ustawiwszy przy bocznych ścianach nieduże skrzynie, połowy beczek, w poprzek przepiłowanych, stare kosze i tym podobne graty, byleby zaopatrzone w otwory, wszystko to może doskonale zastąpić gniazda. Tym sposo-

bem otrzymujemy rodzaj kolonii króliczej, żyjącej z sobą w wzorowej zgodzie, jeżeli tylko przyzwyczailiśmy je tak od małego, jest to jednak warunek konieczny, gdyż dorosłe nie dadzą się nałamać do takiego trybu życia.

Każda samica wybiera sobie sama gniazdo, którego potem już stale pilnuje. Do takiej kolonii można wpuścić jednego tylko samca. Obecność kilku wywoła niezawodną walkę, kończącą się zwykle śmiercią słabszych, dla tego też należy wydalać młode, które ukończyły 3 miesiące. W każdym razie trzymanie w odosobnieniu lepszem jest od systemu kolonijalnego. Prócz tego należy od czasu do czasu odświeżać krew, w przeciwnym razie można spowodować upadek hodowli. Dobrze jest zatem ponumerować zwierzęta i zanotować, jakich każde miało rodziców, a jeżeli samica, to z którym samcem była łączoną, ile miała młodych i t. d. U mnie w każdej klatce wisi tablica szyfrowa, na której wypisane są powyższe dane. W razie zmiany pomieszczenia tabliczka wędruje z lokatorem.

Na zakończenie wypadałoby mi jeszcze powiedzieć słów kilka o chorobach królików. Muszę jednak przyznać się do niekompetencyi. Choroby epidemiczne, na które ciągle słyszę utyskiwania i które rzeczywiście sprawiają straszne spustoszenia, nie zdarzyły się u mnie nigdy. Czasem zmarnuje mi się kilka młodych, szczególnie od młodych matek, ale na tem koniec. Sądzę przeto, że najskuteczniejszą bronią przeciw chorobom jest dopilnowanie, aby posłanie było suche, powietrze czyste, pasza stosowna, i aby nie było wilgoci i przeciągów. Żadna przecież gałęź hodowli nie doprowadzi do dobrych rezultatów, jeżeli wskutek niedbalstwa rozwinie się w zwierzętach usposobienie chorobliwe. A króliki są tak niewybredne, tak mało potrzebują, a opłacają się tak sowicie, że warto chyba pamiętać o kilku wyżej wymienionych punktach. Więc pozostaje mi tylko życzyć, aby w jak najkrótszym czasie znaleźli się w Austryi ludzie dość przewidujący, coby wypełnili pustą dotychczas rubrykę hodowli, która tak imponująco przedstawia się we Francyi i w Belgii, żołądków, któreby chętnie przyjęły tanio wyprodukowane mięso, nie zabraknie z pewnością.

NA ZIELONEJ

PRZEZ

ALEXANDRA UBYSZA.

Gdy łaskawy czytelniku przeżywszy lat wiele, syt zabiegów za marnościami, poczniesz „dziadować“ czyli według Mickiewicza „z wędrówki w świat wróciwszy w siebie“, będziesz rozpamiętywał doświadczenia i zdarzenia z lat minionych; to w duszy twojej, niby w czarodziejskiem źwierciadle, obudzą się z zapomnienia dawne zdarzenia, cienie ludzkich postaci, zatarte przeszłości wspomnienia. Im dawniejsze, im bardziej zanurzone w głębi czasu, tem wyraźniej wydobywają się na jaw. Możnaby je porównać z staremi freskami, które przemalowane lub grubo pobielone, po długich latach przebijają ową powłokę i jawią się jakby zmartwychpowstałe. Dobrze to wypowiedział któryś z naszych poetów:

„Dawne wspomnienia lub też senne mary
To jakby jedno, mimo naszej chęci
Same się łonią z krain niepamięci“.

Otóż ja począwszy na stare lata rozpamiętywać minioną przeszłość, odtwarzać w duszy wszystkie na szlaku życia znajdowane postacie. które już dawno poszły „do głównego apelu“; zapraszam łaskawego czytelnika do wspólnej ze mną wędrówki po polskich drogach i mostach, które według znanego przysłowia wraz z niemieckim postem i włoskiem nabożeństwem nie wiele warte.

Przed laty niemal trzydziestu postanowiłem zwidzić ziemię Bełzką Jadę tedy tak zwaną biskupią drogą. Około r. 1842 zasiadł na stolicy arcypasterskiej dyecezyi lwowskiej ks. Pistek, z rodu Czech, wtedy bowiem było systemem Rządu obsadzać najwyższe urzędy, nawet kościelne, naszymi pobratymcami, wcale nie przychylnymi naszemu narodowemu żywiołowi. Ksiądz arcybiskup był w tym względzie wyjątkiem. Pozostawił on po sobie dobre wspomnienie i cenne pamiątki. Objąwszy archidyecezyę, postanowił zwidzić ją, a więc z kolei wyruszył w ziemię Bełzką. Podówczas były drogi takie, o jakich dziś nikt nie ma wyobrażenia, więc postanowiono utorować drogę nową dostojnemu arcypasterzowi, i stąd nazwano ją biskupią. Wiodła ona okolicą wcale nie powabną, śród lasów z płaskim moczarowatym gruntem. Las ów składał się z olszyny, sośniny i gdzieniegdzie dębiny. Olchy tam na odpowiednim gruncie wyrastały do ogromnych rozmiarów, sosny zaś i dęby były chore i karłowate, obsiadały je bowiem, jak zwykle na mokrym gruncie, pasożytne mchy. Było to gniazdo mirjadu owadów. Smutny widok daje taki las, pnie drzew aż ku samej niemal koronie powleczone szatą popielatą owych mchów, trawa nędzna, niepożywna dla zwierząt, których też tam nader mało, bo ona potrzebuje do wyżywienia traw, ziół, młodych pędów brzeziny, iwiny, dębiny i smereczyny, których tam albo wcale nie było albo powleczone mchem, zwanym przez lud „liszajcem“, obudzały w sarnach wstręt, nie pokonywany nawet najdokuczliwszym głodem. Zając się tam również nie pożywi, więc unika takiego lasu. Smutna to zaprawdę okolica, iście poleska. Przed zbudowaniem biskupiej drogi wiło się tam dróg najmniej 20. Nic przykrzejszego dla podróżnego, jak podobny labirynt dróg, dróżynek, objazdów, trzęsawisk, kałuż i t p. Mówi przysłowie: „Każda droga wiedzie do Rzymu“, toż i owe dróżyny wiodły do Bełza, ale o zmroku lub w czasie niepogody jakżeż długo nieraz trzeba było błądzić między Scyllą i Charybdą, nim można było dobić się do przystani.

Otóż ową biskupią drogą podążałem do Bełza, nie wiem, jaką ona była przed laty, ale stan, w jakim ją zastałem, nie dozwalał domyślać się dygnitarskiego szlaku. Wybojów, kałuż z grząskiem, przepaścistem dnem, mostków dziurawych mimo bogatego materyału do ich naprawy, było mnóstwo. Co kilka kroków nowa zawada, albo konie grzęzną w błocie po same pachy, to znowu wóz zastrzęgnie w kałuży, zapełnionej grubemi gałęziami sosnowemi, kaleczącemi zwierzęta pociągowe. Było to w miesiącu Lipcu, w kulminacyjnej porze rozwoju naszej fauny i flory, a tu smutno i pusto. Gdym się wreszcie dobrał do Bełzkiego lasu, gęstego i ciemnego, mój woźnica,

chłopak urodzony w okolicy bezleśnej, nie przywykły do takiej puszczy, naraz zatrzymał konie mówiąc: „Oj, tak straszno, może tu gdzie są rozbójniki, bo to jakiś las wielki aż do końca świata“. — „Głupiś, ruszaj!“ zawołałem, a on przeżegnał się ruskim obyczajem trzy razy i zaciął koniska. W istocie droga to była wcale nie ponętna, mimo jasnego jeszcze dnia rozlegał się jakiś ponury cień i chłód przenikliwy, grobowy, przeniknionу zgnilizną i stęchlizną. Jedyną korzyścią było, że opuściła nas krwiożercza zgraja bąków. Podróż szła żółwim krokiem. Dla ulżenia koniom zmęczonym i uwolnienia się od mimowolnych podskoków na ogromnych korzeniach, wystających z piasku, wysiadłem z bryczki i z dubeltówką w ręku podchodziłem ostrożnie turkawki, gruchające po sośniakach. W tem słyszę głos chłopca zdala na mnie płaczliwie nawołującego, podbiegam więc i widzę, że konie stoją a on płacze. „Czegoż beczysz, ruszaj“ — zawołałem. „A którędy proszę pana?“ W istocie trudne to było zadanie, wprost na drodze niby jezioro, bokami niby jakieś objazdy, w przeciwną wiodące stronę. Po długiem orientowaniu się i szukaniu drogi udało mi się ominąć owe bagnisko. Nie zliczę, ile przebyliśmy kałuż, mostków dziurawych, wreszcie stajemy u brzegu ogromnej kałuży, chłopak zacina konie, które raźno skoczyły w wodę i od razu ugrzęzły w błocie czarnym jak smoła po brzuchy, a bryczka zapadła powyżej osi. Konie poczęły się szarpać, porwały uprząż, wreszcie pokładły się w błoto. Począłem nawoływać wyczekując, ażali nie zjawi się jaka litościwa dusza i nie wydobędzie mnie z tej topieli — daremnie, las pusty, nikt nie przybywa, więc zdjąwszy pychę z serca i *caetera* z ciała z pomocą chłopca i noża udało nam się poprzecinać splątane rzemienie uprzęży i wyprowadzić na brzegi konie iście kare, choć jeden był siwy, a drugi kasztanowaty. Byłem zły jak sto diabłów tem bardziej, że Mikołka nadąsanym wzrokiem czynił mi widocznie wyrzuty. Umieściwszy konie pod sosną, wszelkie utensilia zabrawszy z bryczki, postanowiłem nocować w lesie, wyczekując zmiłowania Bożego lub ludzkiego. Rozniecíliśmy dwa ogniska i umieścili konie i siebie pośród nich dla ochronienia się od miriadów komarów, i ułożyliśmy się posiliwszy się chlebem razowym „obrocznym“, który chłopak wziął z sobą. Gdym się obudził, półmrok zwiastował wschód słońca, konie chrupały siano, chłopak chrapał przeróżnymi tonami, ogniska dogorywały, a z głębi boru dochodził mnie spiew drozda, który na szczycie sosny spiewał „hejnał“ ku czci Stworzyciela świata. Zapadłem w jakiś stan marzeń. W tem z po za sosny odzywa się głos „*basso profondo*“: „Dzień dobry!“ Zerwałem się zdziwionem okiem patrząc na słusznego, barczystego, nie młodego już człowieka, odzianego w kurtę z czarnego sukna, domowego wyrobu Głowę jego okrywał duży słomiany kapelusz, w prawej ręce miał ogromny kij sękaty, w lewej pęk różnych ziół świeżo zerwanych. „Zkąd pan jedzie, nie pytam, bo to do mnie nie należy, lecz po wózku ustrzęgniętym w tej dziczej kałuży, *w matery ich by zastohnało* (ruskie przekleństwo), domyślam się, że niemiła tu pana spotkała przygoda. Jestem Michał Czajkowski, leśniczy tych lasów, do miasta Bełza należących“. — Przedstawiłem się też leśniczemu oznajmiając, że jadę do Wierbiąża. Zbudził chłopca i zaprowadził nas na leśniczówkę, zwaną „Na Zielonej“ zapewniając, że pozostawionych koni i wózka nikt tu nie naruszy.

Leśniczówka ogrodzona była mocnym dębowym częstokołem, dom nie wielki z ganeczkiem opartym na dwóch słupach, sień dość duża, na jej ścianach wisiało kilka strzelb pojedynek małej wartości, kordelas, kilka trąbek, dwie torby, jedna z gładkiej skóry, druga borsucza. W dwóch izbach, sieni, kuchni i spiżarce wzorowa czystość. Trzy okna osłonięte były gęsto rozkrzewioną i wysoko wybujałą asklepją, która kwiatem swym napełniała dom cały przyjemną wonią. Zdziwiłem się widząc wszędzie ład, czystość, kwiaty wazonowe starannie utrzymane oraz śnieżnej białości firanki przed oknami, byłem pewny ręki kobiecej. W bawialni stała sofka czarną ceratą obita i takichże sześć krzeseł, przed nią stół olchowy okryty białą serwetą, komódka jasionowa żółta z szklankami białemi i kolorowemi, szafa olchowa. Ciekawie zaglądnąłem do sąsiedniej izby i z urządzenia jej wnioskowałem, że gospodarz musi być starym kawalerem lub wdowcem Poprzednio zostawił mnie leśniczy samego, wnet jednak pojawił się, a za nim chłopaczek bosy wprawdzie, ale czysto ubrany, niosąc na czarno lakierowanej tacy chleb, masło, imbryk kawy i śmietankę. Kawę poprzedził mały kieliszeczek wódki, poczem z wilczym apetytem zabrałem się do zastawionego śniadania. „Przepraszam za chleb — rzecze leśniczy — trochę nieświeży, bo oto ja wdowiec, a syn, jakbym go nie miał“ — dodał z chmurnym wyrazem twarzy. Po śniadaniu radził mi przespać się i odpocząć po tak nieprzyjemnym noclegu, co mnie trochę ubodło. „Czyliż to tak papinkowato wyglądam — rzeknę — różnie to tam ze mną bywało, gdym nieraz zwidzał Sanockie Beskidy“. — „To pan zna Beskidy, może i Samborskie, bo to moje rodzinne strony“. Wówczas jeszcze nie znałem Samborskich Beskidów, więc na tem rozmowa się urwała, poczem leśniczy wyszedł, a ja idąc za jego radą rozłożyłem się na sofie.

Gospodarz domu był już starcem, siedm krzyżyków, jak sam mówił; dźwigał na swym po żołniersku wyprostowanym grzbiecie, ruchliwym był i energicznym, a głos miał istotnie tubalny Usłyszałem z kuchni głosy: „Rozpały ohoń!“ — „A chtoż bude waryty, możeby żydiwku zakłykaty?“ Nastąpiło głośne klaśnięcie i płacz chłopca, a po chwili: „No ne płacz serce, ty znajesz, szczo ja żydiwok i newist ne lublu, ne płacz, kuplu tobi remineć i nożyk, idy i chapaj dwoje kurjat“. Cisza, tylko słychać krzątanie. się leśniczego, przystawiającego snać garnki do ogniska. Po chwili raportuje chłopak, że kury nie dały się złowić, poczem niebawem rozległ się strzał zapewne do kur.

Gdym przespawszy się powstał z sofy, wszedł leśniczy, wnet podano drugie śniadanie nie wykwintne, ale smaczne. Gospodarz musiał co chwila wychodzić to do kuchni lub za swemi sprawami, więc ja wybrałem się na przegląd leśniczówki.

Około południa nadciągnęli gajowi, końmi leśniczego ciągnąc mój wózek. Od nich dowiedziałem się, że czterema wołami musieli wyciągać wózek z topieli błotnej. Leśniczy kazał jednemu z gajowych, który był stelmachem naprawić mój wózek, uprzęż zaś miał zreparować rymarz Ludwik d'Effée. Zadziwi zapewne czytelnika to nazwisko w tym zapadłym kącie. Francuz to był z rodu, doskonały rymarz, ale jeszcze lepszy pijak. Zboczę tu nieco od właściwej treści w celu bliższego poznajomienia czytelnika z tą ciekawą figurą. Po pierwszej rewolucyi francuskiej zjawił się był w miasteczku Bełzie człowiek jakiś przybyły z obcych stron nazwiskiem d'Effée własnem czy przybranem, z żoną i dwoma synami Jakubem i Ludwikiem, i osiedlił się w niem otwierając warstat rymarski. Po śmierci żony przeniósł się z synami do kolonii niemieckiej Bruckenthal. Po latach wielu stryj mój osiedlił dwóch braci d'Effée'ów w pustej chacie gajowego, położonej koło karczemki, zwanej „Wygodą“ (chyba dla złodziei jako stojącej na pustce przy samym lesie). Stary d'Effée do końca życia źle mówił po polsku, synowie zaś jego, jakkolwiek urodzeni we Francyi, doskonale wyuczyli się mowy niemieckiej,

zbijając bąki z szwabikami Bruckenthala, a po polsku i rusku od chłopców wiejskich, z mowy zaś ojczystej zaledwie kilka wyrazów zapamiętali. Obadwaj dobrymi byli rymarzami, starszy Jakób ożenił się z chłopką rusinką i zostawił z niej dzieci, młodszy zaś Ludwik, lepszy od brata rymarz, lecz pijak nałogowy, umarł w bezżennym stanie. Znałem obu. Niejednokrotnie opowiadał mi Ludwik istne dziwa o ojca i swojem pochodzeniu, jako posiadali niegdyś zamek w wielkim swoim majątku, zabranym przez republikę, jak ojciec dla przyjemności bawił się rymarką i z niej potem musiał na chleb zarabiać. Często zwłaszcza gdy był dobrze podpity wtrącał frazesy francuskie, z jakim akcentem wymawiane, może sobie czytelnik wyobrazić. Nie bardzom wierzył owym jego przechwałkom. Do naprawy mojej uprzęży przyprowadzono owego szlachcica francuskiego, bo o własnej sile, tęgo podcięty, przyjść nie mógł. Przypomnieliśmy się sobie nawzajem, co widocznie pana d'Effée wielce cieszyło i przyrzekłem mu za robotę sutą zapłatę.

Dziedzińczyk leśniczówki obwiedziony był dębowym częstokołem z bramą przy drodze, którą pokrywał daszek słomiany. Na niej mieściła się cała kollekcya sów, jastrzębi, wron i srok ubitych i gwoździami rozpiętych. Na tylnej ścianie stajni wisiały szkielety wilcze i lisie, ostatnich używano dawniej przeciw chorobom świń. Szkieletów lisich naliczyłem 6, wilczych 15. Leśniczy Michał Czajkowski słynął w okolicy jako tępiciel wszelkich drapieżników skrzydlatych i czworonożnych. Wilki i lisy brał na strzelbę, truciznę lub też sztuką następującą. Na osobnym małym dziedzińczyku, przytykającym do tyłu spichrza, umieszczone były w ogrodzonej małej szopce, upięte na mocnych łańcuchach, dwa żywe wilki. „W miesiącu Lutym i Marcu — opowiadał leśniczy — urządzam zasadzkę na wilki w domu. Jeden z upiętych wilków jest waderą. Skoro nadejdzie pora cieczki, wadera, którą od szczenięcia wychowałem, służy mi za wabika do przyciągania wilków samców aż na podwórze. Dosiadłszy konia prowadzę wilczycę z sobą na mocnym łańcuchu. Niemal codziennie objeżdżam z ciekającą się waderą okoliczne lasy i pola w przeróżnych gzygzakach. Podczas tej mojej wycieczki upinają gajowi pozostałego wilka w loszku, dosyć odległym od owej szopki. Zwierzęta jednego gniazda i rzutu, razem chowane, przywykają do siebie, więc gdy się je rozłączy, objawiają tęsknotę za sobą wyciem. Głosy te i tropy wiedzionej przezemnie wadery, przywabiają wilki z lasu, które dochodzą aż do szopki. Aby im ułatwić dostęp do niej, wyjmuję gdzieniegdzie koły z sztachet. Psy pozamykane w stajni, cisza dokoła, światła wcześnie pogaszone, a ja w noc księżycową, uzbrojony w kilka strzelb, ukrywam się w spichrzyku, otworami w ścianie wyciętymi śledzę i gdy wilk się zbliży, strzelam na pewne. Tym sposobem ubiłem ich już tyle, ile szkieletów pan naliczyłeś.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KORESPONDENCYE.

Zużel 26. Września.

„Wilk! Wilk w ogrodzie!“ — „Gdzie?“ — „Za kuchnią na grządce leży“. — „Taki to i wilk, co do kuchni przyszedł.“ — „Ale wilk Jaśnie Panie, sam go widziałem i postawiłem Demka, aby go pilnował“. — Teraz byłem już pewny, że wszystko, co mi prawi gumienny, który zadyszany aż do mego sypialnego pokoju wpadł, nie jest prawdą, jednakowoż po ponownych zapewnieniach, ciekawy co to być może, biorę strzelbę i dwa stare naboje zajęcze, jeszcze z zeszłorocznego sezonu i wychodzę. Przed gankiem zastałem siedmiu chłopów, z których każdy mnie zapewnia, iż był koło wilka i nawzajem patrzali na siebie. Idę z całym konwojem hałaśliwym, gdyż każdy opowiadał swoje spostrzeżenia o wilku, przez mały sadek otoczony niską grobelką, za którą miał się znajdować ów wilk pod strażą. Gdy stanąłem na grobelce, widzę przed sobą o małych trzydzieści kroków coś zwiniętego leżącego na grządce marchwi, złożyłem się, to coś zaczyna leniwie się podnosić, strzelam, stary, zwilgotniały nabój nie wypala, strzelam z drugiej lufki — wypaliło, a ogromne wilczysko legło martwe przedemną, bębniąc nogami. Gdyby strzał nie był śmiertelny, drugi raz wystrzelić nie miałem czem, a wilk byłby z pewnością uciekł. Z boku o sześćdziesiąt kroków stał Demko na warcie, by widzieć, gdzie wilk pójdzie, nim ja ze strzelbą przyjdę. Sad obok stajen jest wynajęty sadownikom żydom, którzy w nim mają budę i konia dla wywożenia jabłek do miasta. W nocy na 26. Września koń pasł się w sadzie. Wilk go napadł najpierw z przodu i czoło mu silnie pokaleczył. Następnie przyczepił się do tylnej łopatki. Sadownicy usłyszawszy niespokój w sadzie, przybiegli z krzykiem do konia. Wilk konia puścił i pomału odszedł. Pięciu żydów przekonawszy się, że to wilk, w ogromnych susach uciekło do budy, i żeby kto był im nietylko konia, ale i wszystkie jabłka zabrał, żaden z pewnością z budy byłby nie wyszedł. A co się w budzie działo? Wilk o dwieście kroków od miejsca, gdzie konia napadał, położył się niedaleko ścieżki. Rano kilkunastu ludzi przechodziło tą ścieżką o kilkadziesiąt kroków od wilka leżącego na grządce, co go wcale nie płoszyło; spoglądali obopólnie na siebie. Tej samej nocy wilk, zapewne ten sam, w sąsiedniej wiosce pokaleczył dwa konie i rzucił się na chłopa, lecz został odpędzony. Zabity wilk, był z wiechą 170 cm. długi, a 80 cm. wysoki. Ważył 45 kilogr., ale musiał być bardzo głodny, bo żołądek miał zupełnie próżny. Latarnię i kark miał bardzo wielkie, klańce w paszczece nie całkiem zdrowe, łapy silne, polano krótkie. Po obieleniu okazało się, iż dostał ośmnaście śrótów w prawy bok. Strzelałem na trzydzieści kroków z teschnerówki śrótem Nr. 3.

Temu parę lat zjadł wilk na pastwisku w nocy konia arendarza, który był żelaznem pętem spięty z drugim koniem. Drugi koń był zupełnie zdrów, ale w jakim strachu musiał być podczas operacyi swego towarzysza? Zdarzył się też wypadek, iż wilk napadł pasącego się w nocy na błotach konia, który był spętany żelaznem pętem. Koń broniąc się przedniemi nogami, tak skoczył na wilka, iż go żelaznem pętem za kark wcisnął w błoto. Znaleziono nieżywego wilka, przyduszonego za kark żelaznem pętem pomiędzy przedniemi nogami zdrowego konia, który zagrzązł w błocie.

T. W.

Mimo że tak często spotkać się można w łamach szanownego pisma z wzmianką o lekach przeciw wściekliźnie, nigdzie jednakże nie spotkałem się z opisem faktu, z któ-

regoby z całą stanowczością o skuteczności tychże leków wnioskować można. Jedna kronika aż w trzech miejscach przedmiot ten porusza, a ponieważ korespondencye z różnych pochodzą źródeł, zatem wnioskować można, że środki przeciw tej okropnej chorobie są rozpowszechnione i używane, a ludzkość wieleby na tem zyskała, gdyby po umiejętnem zbadaniu zdjąć można z nich tajemniczą zasłonę i zeszeregować je do zwykłych aptecznych leków. Lud nasz od dawna tajemnicę tę zbadał i używa środków niezawodnych, na dowód czego przytaczam następujące fakta.

Było to jeszcze w roku 1870 lub 1871, kiedy po ukończeniu szkół wziąłem się do gospodarki, a równie namiętnie jak uprawę roli polubiłem myśliwstwo, powab dla mnie miała knieja, ale niemniej koń, otwarte pole i dobre charty. Polowało się wtedy w ziemi Zbaraskiej gromadnie, w kilkadziesiąt koni, zajeżdżając na noclegi od sąsiada do sąsiada. Dziś po upływie kilkunastu lat, podobne polowania stały się niemal legendowemi. Otóż przed takiem walnem polowaniem, wyjechałem z jednym tylko chłopcem, by dać psom sposobność wyciągnięcia się i przygotować je do nastąpić mającego turnieju. Wziąłem z sobą wypróbowanego psa „Sokoła“ i parę młodych piesków, ale Sokół zmartwił mnie, zawiódł moje nadzieje, młodym psom dał bardzo zły przykład i wracał na smyczy smutny i zgryźliwy, niekontent, gdy który z młodych psów, wolno idących, ku niemu się zbliżył. Pies, mimo całego dziwnego zachowania się, nie wzbudzał we mnie podejrzenia, powróciwszy do domu kazałem go puścić; wtedy on, zwykle tak spokojny, maltretować począł kręcące się po podwórzu prosięta. Młode psy, zachęcone przykładem, również wzięły się do biednych prosiąt, bo to ich bawiło, ale same na sobie wkrótce doznały skutków złego humoru Sokoła, który je niemiłosiernie pokąsał. Takie nadzwyczajne rozdrażnienie spokojnego zwykle i dobrego psa, nasunęło mi nieco obawy co do stanu jego zdrowia, postanowiłem więc go odosobnić i trzymać w obserwacyi. Ponieważ pies był wolno puszczony, szło o to, jak go złapać, chłopak, który ze mną jeździł, radził wziąć dużą płachtę, psa zajść z nienacka z tyłu, narzucić ją na niego, związać i odnieść na miejsce, gdzie miał być zamknięty. Obaj byliśmy wtedy młodzi, więc od postanowienia przyszło zaraz do czynu, ja zostałem na miejscu obserwując psa. Pies stał spokojnie, więc zbliżam się do niego nieznacznie, i wkładam palce w kółko od obróży. Chłopak zwinął się szybko, a widząc, że psa trzymam, rozpoczął natychmiast swoją manipulacyę. Pies nastraszony chciał uciec, ale że silnie go trzymałem, więc szarpiąc się ścieśniał obróżę, która go dusić poczęła. Wtedy o ile tylko mógł skręcał głowę, to w jedną to w drugą stronę i usiłował ugryźć mnie w rękę. Szczęściem miałem na sobie lisiurkę obkładaną barankami i bardzo grube rękawiczki, więc nigdzie mnie nie zadrasnął, choć na rękawiczce znać było wyciśnięcie zębów. Psa w końcu zmogliśmy i zamknęli, a stróż, do którego obowiązków prócz rąbania drzewa i wożenia wody także karmienie psów należało, dostał nakaz, by tylko z nadzwyczajną ostrożnością, przez małe okienko, na zewnątrz się otwierające, wstawiał psu jedzenie i wodę. Zdawało mi się wtedy, że wszystko nadzwyczaj dobrze zarządziłem, dziś naturalnie postąpiłbym inaczej i psu podejrzanemu palnąłbym od razu w łeb nie narażając siebie i ludzi, lepiej bowiem każdego podejrzanego psa zgładzić, niż jednego prawdziwie chorego zostawić. Skutki to okazały; rozporządzenia moje nadwerężył stróż i zamiast wsunąć psu jedzenie okienkiem, wszedł na drugi dzień do niego wygodnie drzwiami, pies był właśnie w silnym paroksyzmie wścieklizny, rzucił się na swego karmiciela i pokaleczył go okropnie. Chłop zachował tyle zimnej krwi, że się wycofać potrafił nie wypuszczając psa i mnie niezwłocznie o tem co zaszło uwiadomił. Wybiegłem zaraz ze strzelbą, otworzyłem okienko od miejsca, w którem pies był zamknięty, a przekonawszy się niestety o rzeczywistym jego stanie, zastrzeliłem go na miejscu. Stan rzeczy przedstawił się wcale nie różowo; stróż tak pokąsany, że aż z kilku ran krew ciekła, ja i chłopak stajenny paraliśmy się z psem również, wprawdzie bez szwanku, ale strach ma wielkie oczy — w końcu psy i prosięta pokąsane. Podano mi w tem utrapieniu dobrą radę, posłania natychmiast do Koszłak, o dwie mile ztąd odległych, po chłopa, który ma od wścieklizny niezawodne lekarstwo. Chłopa tego sprowadziłem, ukrywając w duszy niewiarę w jego leki, a widząc w dodatku, jak on lekceważy tak straszny wypadek, wziąłem go za szarlatana. Antidotum, które przywiózł z sobą, mieliśmy wszyscy zażyć na drugi dzień na czczo, oznajmił mi z góry, że kto nie jest jadem zakażony, temu lekarstwo szkodzić nie będzie, zakażeni zaś ludzie jakoteż zwierzęta po zażyciu chorować będą, że choroba sztucznie wywołana trwać będzie do zachodu słońca i ci pacyenci muszą po kilku dniach zażycie powtórzyć. Usłyszawszy to, byłem przekonany, że po zażyciu lekarstwa, wszyscy się pochorujemy, a nasz lekarz utrzymywać będzie, że wszyscy byliśmy zakażeni. Nakazałem więc chłopcu, by rano, skoro psom lekarstwo dawać będzie z mlekiem, do tej biesiady przypuścił i psy gończe czyli ogary, które były zamknięte i z psem zastrzelonym żadnej nie miały styczności. Na drugi dzień wstałem rychło, wychyliłem kieliszek brunatnego płynu, nie mającego w smaku nic odrażającego, dopilnowałem, że z tej samej butelki nalał chłopcu stajennemu i stróżowi, potem zająłem się wspólną leczniczą biesiadą chartów i ogarów, a pozostawiając prosięta staraniu naszego pseudo-eskulapa, poszedłem spacerem w pole, by tam przebyć pierwsze ataki sztucznego paroksyzmu. Ruch, który w polu wkrótce się rozpoczął, a dla gospodarza zawsze zajmujący, zdziałał, że zapomniałem o nastąpić mającej katastrofie, zajęły mię pługi, które orać wyszły, oglądałem zazielenione już obsiewy zimowe, aż w końcu uczułem, że mi głód dokuczać zaczyna. Zegarek wskazał, że już ubiegły dwie godziny od zażycia tego cudownego, a jak wtedy sądziłem fatalnego płynu, więc wracam pospiesznie do domu i tu zastaję: dwa młode charty jakby w paroksyzmie wścieklizny, z pianą w pysku ale spokojne, nie rzucające się na nikogo, ogary wesołe i jak najzdrowsze. Chłopak stajenny kończył ranne czyszczenie koni i wybierał się z wielkim apetytem na śniadanie, a stróż leżał w drewutni okropnie chory i bezprzytomny. Piana mu z ust ciekła, miał przy tem torsyę i wyglądał jak w malignie. Leki te więc po kilku dniach popowtórzono, psy po drugiem zażyciu już nie chorowały, stróż chorował ale znacznie lżej, więc zażył po raz trzeci, a trzecia dawka żadnych nie wywołała skutków. Stróż żyje do dnia dzisiejszego, cieszy się doskonałem zdrowiem, nazywa się Fedko Jużniak i fakt ten potwierdzić gotów.

Panowie sceptycy, a są nimi prawie zawsze panowie lekarze, słysząc o fakcie podobnym, zwykle powątpiewają,

czy pies rzeczywiście był wściekły. Jeżeliby i tu o tem powątpiewać chcieli, to prosiłbym ich o wytłumaczenie, dla czego lekarstwo to nie szkodziło ani ludziom ani zwierzętom nie pokąsanym, a zaszkodziło tylko tym, których pies pokąsał, dla czego w dalszych dawkach już ani człowiekowi pokąsanemu, ani zwierzętom nie szkodziło i dla czego wieśniak posiadający tajemnicę leczenia, wszystko to z góry przepowiedział? *S. K.*

KRONIKA.

Raul Dąbrowski. Raul z Paproszy, Kruszwicy Dąbrowski, kawaler wielu wysokich orderów, potomek generała Henryka Dąbrowskiego, urodził się 3. Kwietnia 1833 r. Ojciec przeznaczył go do zawodu dyplomatycznego, ale krewki 15-letni młodzieniec wstąpił w szeregi armii austryackiej i zdobył sobie pod marszałkiem Radetzkym w 16tym roku życia epolety oficerskie na krwawych polach włoskich. W r. 1856 wystąpił z wojska, aby się po śmierci ojca poświęcić gospodarstwu rolnemu i leśnictwu. Po ukończeniu studyów w sławnej akademii w Hohenheim i odbyciu kilku wielkich podróży, osiedlił się jako właściciel większych dóbr ziemskich w Czechach. Po kilku już latach został wskutek wzorowego urządzenia i administracyi własnych dóbr odszczególniony na wystawach w Londynie, Paryżu, Wiedniu i t. d. 30 medalami, dyplomami i nagrodami państwowemi. W roku 1873 był mianowany członkiem Rady gospodarczej dla Czech, następnie komisarzem rządowym i sędzią na międzynarodowej wystawie w Wiedniu i pozyskał najwyższe uznanie Rządu i współpracowników. Jako przewodniczący i kierownik wystawy zbiorowej dla Czech, uzyskał od kolegium międzynarodowych sędziów najwyższą nagrodę t. j. dyplom honorowy. Równie świetnie zapisał imię swoje Dąbrowski w rocznikach łowiectwa jako znakomity myśliwy i wielce ceniony autor dzieł myśliwskich. W r. 1876 ogłosił drukiem monografię przyrodniczo-łowiecką „Das Reh“, w r. 1878 pojawiła się druga monografia jego pióra „Das Edelwild“, a w r. 1883 „Der Fuchs“. O dziełach tych odezwał się w pismach myśliwskich niemieckich jeden głos najwyższego uznania, mianując Dąbrowskiego najznakomitszym autorem dzieł treści łowieckiej. Nim jeszcze Dąbrowski powyższe arcydzieła drukiem ogłosił, próbował sił swoich na polu poezyi lirycznej. Jego „Harmvolle Lieder und harmlose Gedanken“, wydane przez Calve'go w Pradze w r. 1869, cieszą się uznaniem pochlebnem krytyki, dzieła zaś jego treści ekonomicznej, szczególnie „Urproduction und Industrie“, które w 11 miesiącach doczekało się dwu wydań, stawiają go w pierwszym rzędzie między autorami w tej materyi piszącymi tak dalece, że znakomity Justus Liebig wyraża się o tem dziele z największemi pochwałami przyznając znakomitą wartość nie tylko dla Austryi, a Dr. Wiliam Löbe nazywa je jedynem w swoim rodzaju i gorąco je poleca. Treść dzieła jego „Splitter“, wydanego w r. 1884 u Perlesa w Wiedniu porusza się na tle filozofii życia, i nosi w sobie wybitne piętno głębokiego myśliciela, skutkiem bogatego doświadczenia dojrzałego umysłu. W r. 1878 powołanym został Dąbrowski do cesarskiej dworskiej służby, wkrótce jednak złożył ten zaszczytny urząd i cofnął się do zacisza domowego, aby tem gorliwiej poświęcić się ulubionej pracy autorskiej. Pracuje on obecnie nad monografiami dzików i danieli, nad rozwojem historycznym łowiectwa, zakładaniem zwierzyńców i gospodarstwem łowieckiem w nich. Prócz tego zasila on pracami swemi prawie wszystkie niemieckie czasopisma łowieckie, a w najnowszym czasie i „Łowca“, dla którego przysłał artykuł w sprawie wielce piekącej, mianowicie o hodowli sarn w wolnych rewirach.

Dąbrowski jest również bardzo zdolnym rysownikiem, rytownikiem i malarzem. Dzieła swoje sam illustruje, a kilka jego większych obrazów olejnych podobały się ogólnie. Jest on jeden z niewielu wybranych, którym każde zadanie się udaje, a dzieła, jakie tworzy, noszą piętno wyższe, jak zwykłego talentu. Z dzieł jego większych wyszły następujące w zbiorowem wydaniu: *Das Reh*, *Der Fuchs*, *Chronik der Jagdbeute*, *Aus dem Tagebuche des Wildtödters*, *Splitter*, *Waldbrevier*, *Harmvolle Lieder*, *Der Wildpark*, *Die Geweihbildung der europäischen Hirscharten*, *Lehr- und Handbuch für Berufsjäger*, *Das Edelwild*, prócz corocznie wydawanego przez niego kalendarza myśliwskiego. *K. R.*

Radomyśl, Wrzesień.

Wilki tak jak nigdy rozgościły się w powiecie Jaworowskim od kilku tygodni, i wyrządzają znaczne szkody między końmi pasącymi się w nocy. Starostwo w porozumieniu z Radą powiatową, zarządziło obławę w kilku gminach. 10go b. m. odbyła się taka obława w części lasów moich w Drohomyślu. Rezultat dnia tego przeszedł wszelkie oczekiwania, zabito 5 wilków, z tych dwa stare i trzy tegoroczne, a dwie sztuki mocno postrzelone farbując przepadły. Na drugi dzień przepolowałem ten sam rewir i drugi jeszcze, gdzie straż lasowa znalazła resztki zjedzonej sarny, w nadziei dobicia postrzelonych dwóch wilków i spotkania się z wilczycą, która niestety uszła celnym strzałom myśliwych. Lecz wszystkie nasze trudy i zabiegi były daremne. Teraz każdej nocy prawie słychać w lesie wycie wilka, domyślić się łatwo, że to czuła i stroskana matka po stracie trzech synów, szuka ich. Wilki, jakkolwiek nie długo zatrzymały się w moim lesie, tak mi rozgoniły sarny, że kiedy dawniej w każdym miocie były, teraz przez dwa dni polując ledwie kilka sztuk widziano. *Józef Skarbek Borowski.*

Z Łupkowa, Wrzesień.

(Wyjątek z listu). Wspólnie z Drem Lemerem, który nie tylko, jak wiadomo, znakomicie włada lancetem, ale też lankastrówką, umówiwszy się poprzednio z p. Mieczysławem Białeckim, że zapolujemy 20. b. m. w kniejach Łupkowskich; wybraliśmy się tam i czekamy. Długiem było to oczekiwanie, myśleliśmy już, że skrewił, ale nareszcie zjawił się. — „A to co za inwalidy?“ — pytam, ujrzawszy troje jego gończaków, okrytych ranami niezupełnie jeszcze wygojonemi. Na to Białecki: „Wyobraźcie sobie, jaką dziwną miałem przed tygodniem przygodę. Ze Smolnika, miejsca mieszkania mego, wybrałem się w pobliski Beskid w celu zapolowania na jelenie, gdzie niedawno naocznie widziałem piękne ich stadko. Myśliwy mój podłożył psy, więc trąbką daję sygnał obu moim towarzyszom, aby się mieli na baczności. Znane wam z dowodności moje psy, a jednak nie ogłosiły bytności jeleni, które zapewne pociągnęły na gody weselne, na rykowisko, w głęboki Beskid ku Wetlińskiej Rawce i Berehom górnym. Naprzód poszły rogale, a za nimi łanie i reszta stada, których górale nazywają „haletnikami“ czyli gośćmi weselnymi szarego końca. Po długiej chwili ozwały się psy wreszcie, ale jakoś nie tak, jak na jelenia — okładają aż miło. Po godzinnym gonie widzę rysia pomykającego, którego psy gonią. Było kroków może 90, za daleko, ale palę z lewki lotkami nabitej. Po strzale ryś osiadł na zadzie, dostał w krzyże. Nadbiegły psy i poczęły go atakować, a on obcesem rzuca się na nie i wpija pazury łap swoich w trąby dwu psów, a zębami odcina się trzeciej suce, która, jak wam wiadomo, nader cięta. Długo trwała ta walka, zabiegałem z różnych stron pragnąc strzelić do rysia, ale niepodobna było to uczynić, gdyż ryś i psy stanowiły jeden zbity kłąb. Nadbiegł wreszcie myśliwy, z jego pomocą oderwałem dwa psy, ale ryś chwycił pazurami za uszy, zębami za trąbę trzeciego psa, leżąc na krzyżach trzymał go jak w kleszczach, usiłując pazurami zadnich łap rozszarpać mu brzuch. Nie udało mu się to, bo mocno postrzelony w krzyże nie miał na to dosyć sił. Z wielką mozołą wpakowawszy rysiowi w paszczę kij bukowy wyzwoliliśmy psa, poczem posłałem drapieżnikowi kulę w samą komorę. Dwa tygodnie minęły od tej pory, a psy, jak widzicie, jeszcze się nie wylizały, nic to jednak nie szkodzi, zrobią swoje należycie, bo w tej samej kniei zabiłem później przed tymi psami dwa rysie jednego dnia, tym razem bez skaleczenia którego z psów“. — Tego dnia św. Hubert nie był na nas łaskaw, psy nic nie trafiły. W okolicy Łupkowa sarn bardzo mało, zapewne z powodu rysiów, które się tu rozrodziły i niszczą zwierzynę płową, nietylko sarny, ale nawet jelenie, osobliwie cielaki. Ryś w ostępie większym jest szkodnikiem jak wilk. Wszyscy górscy myśliwi zawzięli się na tych srogich drapieżników i niezawodnie wytępią ich do nogi. Skoro się u nas na dobre rozpoczną polowania, co się na nich mnie lub komu przydarzy, kto co ubije lub spudłuje, nie zaniedbam donieść. *Kaź. Osu........*

Z początkiem Października b. r. odbyło się polowanie na jelenie na rykowisku w rewirach górskich powiatu Dolińskiego, dzierżawionych przez hr. Artura Potockiego. Padło 13 jeleni, między którymi są wspaniałe okazy. Hr. Artur Potocki zabił 5 sztuk, hr. Andrzej Zamojski 4, a książe Henryk Lichtenstein i p. Siegler po 2.

P. R. Wiadomość tę bardzo ciekawą wyjmujemy z *Gazety narodowej*, może nawet pojawi się w jakiem piśmie niemieckiem, jak to się

często dzieje. Z jakiegoż powodu organ gal. Tow. łowieckiego nie otrzymuje wieści o myśliwstwie, prowadzonem na wielką skalę i trybem umiejętnym? Wszakże ztamtąd powinny wychodzić wzór i zachęta do wprowadzenia racyonalnych urządzeń w myśliwstwie niższego rzędu, a któreż pismo, jeżeli nie „Łowiec", poświęcony wyłącznie myśliwstwu, ma je ogłaszać i szerzyć?

W lasach Parchackich, majątku Dra Marcellego Madejskiego, polowano po latach 26 po raz pierwszy dnia 28. Września. W jednym miocie znaleziono 6 wilków, z których ubito 2, postrzelono 2, reszta uszła nie strzelana. Dzików było 8, wymknęły się skrzydłem nie strzelane. Ubito też 2 lisy. Można się spodziewać, iż przy umiejętnem prowadzeniu nagonki i dokładnem obznajomieniu się z wagą zwierzyny, polowania w tych rewirach będą należały do celniejszych.

Odbieramy z potocznego opowiadania wiadomość, że w Holeszowie koło Bortnik, w majątku pana Thoma, wykopano w pierwszych dniach Października w wiklinach brzegowych Dniestru cztery stare borsuki. Opowiadający ów niezwykły fakt podnosił zaszczytnie nie tylko zadziwiającą pewność, jaką w tym wypadku, przy odkopaniu owych borsuków okazał Dr. Chomicki, ale też wysokie zamiłowanie w myśliwstwie i szeroką jego wiedzę i doświadczenie w tym kierunku. Posiada Dr. Chomicki wyborną psiarnię, złożoną z okazów, znakomicie do różnorodnego polowania ułożonych, posiada niezwykłą teoretyczną i praktyczną wiedzę, któremi zasila współtowarzyszów swoich wypraw myśliwskich. Wielce bylibyśmy wdzięczni, gdyby tak znakomity miłośnik szlachetnego zawodu myśliwskiego obdarzył łaskawie „Organ myśliwski" choćby okruchem swej wiedzy i doświadczenia. Nie wątpimy, iż ta odezwa nasza nie będzie głosem wołającego na puszczy!

Korespondent Płocki donosi: W zwierzynę, a szczególnie w kuropatwy, rok ten jest bardzo obfity. Pomyślny przyrost zwierzyny przypisać należy głównie dwom powodom: naprzód lekkiej zimie i niezbyt dżdżystej wiośnie, potem pewnym ograniczeniom, obecnie u nas wprowadzonym w udzielaniu pozwoleń na broń. Te pozwolenia otrzymują w celach myśliwskich przeważnie tylko posiadacze własności ziemskiej o tyle przynajmniej rozległej, aby przedstawiała prawdopodobne pole do harców myśliwskich bez uciekania się myśliwego do rabunku cudzej zwierzyny. Jest to jeden ze środków zapobiegających kłusownictwu, bardzo u nas rozpowszechnionemu.

W Oślepie pod Lwowem ubito 18. Października na urządzonem przez Tow. myśl. mieszczan lwowskich polowaniu: 9 lisów, 8 zajęcy, 1 kozła, 2 słonki i borsuka.

Suwałki (Król. Pols.) Październik.

Chciałbym uwiadomić kolegów myśliwych o tem, co się dzieje w naszej okolicy, ale niestety mało nastręcza się do tego przedmiotu. Kuropatw mamy w tej jesieni tak jak i w roku zeszłym nader wiele, spotkać można jednego dnia do sześciu stadek, ale dostrzeżono, że stadka są nieliczne i że młode w wielu stadkach jeszcze małe. Przed tygodniem spotkałem stadko, w którem młode nie większe były od przepiórek. Zajęcy mało, mniej niż w roku zeszłym. Dubeltów też było mało i ciąg ich trwał krótko. Siewki rzadkie. Mówiono mi, że w lesie rządowym, o sześć wiorst od Suwałk jest pięć sarn, gdyby je zaoszczędzono, rozmnożyłyby się. Jako o osobliwości donoszę, że w okolicy miasta Sejn ubito białego jak mleko skowronka. Ani kształtem ani wielkością nie różnił się od szarego. Przysłano go do Suwałk, ale gdy tu nikt wypychać nie umie, zmarnował się. W naszej okolicy bociany odlatują zwykle na św. Bartłomieja t. j. 24. Sierpnia, a jednak widziałem ich w r. b. jeszcze koło 10. Września. Tępimy włóczące się po polach koty domowe jako szkodniki, a jednak i w kocie obok drapieżności jest szlachetniejsze uczucie. Kiedy przed pół rokiem był w Suwałkach niezwykły pożar, to u p. Hr. usłyszano kota (samca) miauczącego pod drzwiami i dobijającego się do nich. Otworzono drzwi, a kot wbiegł do pokoju niosąc w pysku małego kociaka całego osmalonego i zabłoconego, i rzucił go na podłogę. Oczywiście wyrwał go z płonącego domu, i niósł przez kilka ulic do swego. *R. Wierzbicki.*

Z pod Złoczowa.

Bogini Cerera dawno już dała mi dymisyę, niewiele użyczając darów swych do osłodzenia mi, mówiąc stylem urzędowym, dobrze zasłużonego stanu spoczynku. Diana zawsze jeszcze w swej służbie trzymać mnie raczy, wielbię ją też mimo starych lat i poluję — najchętniej na błotach. Nie wiele użyłem łowieckich rozkoszy. Długotrwała susza wypłoszyła wszelką skrzydlatą zwierzynę z błot, jeziorek, a nawet nadbrzeży rzeczułki, środkiem łąk Chylczyc płynącej, słynnej z mnogości bekasów i dubeltów. Sucho tam, więc nie wyruszam na polowanie mimo umizgów mojego wyżła, który mnie wszelkimi sposoby w pole wywabia. Pustka wszędzie, wszystkie bowiem bekasy pociągnęły ku nadbrzeżom Pełtwi i Bugu i niewracają do swej pieleszy, chyba że przeczują deszcz, instynkt bowiem zwierząt i dar przenikania zmian atmosferycznych, jest zadziwiający. Śród najtrwalszej posuchy, gdy zjawi się błotne ptactwo na wyschłych sianożęciach, niezawodnie deszcz rychło spadnie. Ktoż nie uważał owego pluskania się, bicia skrzydłami o wodę i gwaru, jaki czynią gęsi i kaczki w przededniu deszczu. Kiedy kulony lecąc pogwizdują, znak to niezawodny deszczu, z tego to powodu dali im niemcy nazwę „Regenpfeifer". Nie tylko kaczki, ale też bekasy przelatują z nocnych swych żerowisk na dzienne swe siedziby i pielesze. Podczas długotrwałej suszy, jak tegoroczna w Maju, Czerwcu i połowie Lipca, okolica moja nie wielką miała przestrzeń takiego żerowiska dla ptactwa, toż zapadłszy na brzegi Pełtwi i Bugu lub niektórych moczarowatych stawów, trzymało się ich, dopóki przeczucie zmiany atmosferycznej nie pobudziło go do ciągu za żerem na deszczem zwilżone dalsze obszary. Dnia 21. Lipca słońce zaszło czysto, wyszedłem za miasto, zmrok padł już zupełny, wtem od strony Glinian odezwały się głośne pogwizdy lecącego stada kulonów, nieochybnie zwiastujące deszcz. Zapowiedziałem go śmiano się ze mnie, około godziny 11 spadła ulewa z grzmotami i błyskawicami. Nazajutrz wyruszyłem na polowanie i ubiłem 9 sztuk oblanych bekasów i przekonałem niedowiarków, że ptactwo błotne jest najlepszym zwiastunem zmian atmosferycznych. *No.....*

Kamienopol, Październik.

Od kilku lat nigdy już nie wyjeżdżam na łowy z chartami, ale jako stary charciarz, niby ów przysłowiowy woźnica, z przyjemnością patrzę na owe wyścigi. Otóż wyprawiłem na nie kilku z młodzieży, a sam wózkiem podążałem za nimi, pragnąc widokiem owych łowów obudzić w duszy wspomnienia miłej w tym względzie, niestety niepowrotnej już przeszłości. Hej! hej! jakżeż gorąco myśl moja lgnie do każdej niemal miedzy lub komeszy pól Mikłaszowa, Biłki i innych! Ileż ja to tam uszczułem zajęcy, lisów! Młodzi, jakoby flankiery kawaleryi, rozjechali się w różne strony, buszując po polach, a ja niby wódz naczelny z steranemi w zawodzie wojennym siłami, dojechawszy wózkiem na wzgórek, rozpatruję obroty mego łowieckiego hufca. I oto wstrząsa moją duszą donośne: „hajżego!" Konie pomknęły z kopyta, charty prześlicznie ścigają zająca, a ja ścigam je okiem. Nie ciekawy to może dla czytelnika obraz, ale dla mnie „rajska dziedzina ułudy". Może więcej będzie zajmującą wiadomość, że przy sposobności tegoż charciego polowania upatrzyłem stado dropi, których od lat wielu w tych stronach nie widywałem. W dawniejszych latach zjawiały się one często w późnej jesieni. Uważałem wtedy, że pojawianie się ich na polach moich i sąsiednich były przepowiednią mroźnej i śnieżnej zimy. Czy się ta przepowiednia i w tym roku ziści — zobaczymy. *E. U.*

W Niesłuchowie, majątku hr. Tadeusza Dzieduszyckiego, ubito 16. Października 21 słonek, 2 lisy i kilka zajęcy. Widocznie słonki dopiero nadciągały, bo przy pięknej pogodzie, jaka wówczas była, ptak ten nie spieszy z ciągiem. Można śmiało wnosić, iż tegoroczny ciąg będzie obfity i długotrwały.

Żubry. Podług wiadomości urzędowej, ogłoszonej w Gazecie gubern. Grod. liczba żubrów w puszczy Białowieskiej wzrastała do roku 1857. Tak n. p. gdy w r. 1815 liczono ich zaledwie 300 sztuk, to w r. 1857 dosięgła ich liczba 1.898. Poczynając jednak od r. 1857, liczba tego jedynego już na Białowieży zwierza poczyna się stale zmniejszać aż do r. 1871 Po upływie n. p. lat trzech t. j. w r. 1860 liczono żubrów tylko 1575 sztuk, w 1862 r. 1251, w 1863 r. 874, w 1865 r. 724, w 1868 r. 559, w 1870 r. 542, w 1871 r. 528. Od roku 1871 liczba żubrów nie tylko się nie zmniejszyła przez lat kilkanaście, lecz wzrosła nieco. Tak n. p. po upływie lat 12 w r. 1883 znajdujemy 600 sztuk żubrów, a w tej liczbie 548 starych i 52 młodych. Atoli w następnym już roku 1884 zauważano znowu niejaki ubytek, liczba żubrów wynosiła 520 sztuk, na początku zaś roku bieżącego znaleziono ich zaledwie 450 t. j. mniej o 78 niż nawet w najgorszym roku 1871. Stan ten powinien zwrócić baczniejszą uwagę na gospodarstwo w puszczy Białowieskiej.

(Hodowca).

Tępienie ptaków drapieżnych w Niemczech ma się odtąd odbywać z większą energią. Rząd zamierza wyznaczyć nagrody za każdego zabitego jastrzębia, kobuza, gawrona i t. d. Komu się uda zabić jakiego ptaka drapieżnego, winien go złożyć, jeżeli chce otrzymać

wynagrodzenie, w najbliższym urzędzie nadleśnictwa królewskiego, poczem gdy z kas rządowych nadejdą pieniądze, na cel ten przeznaczone, otrzyma każdy, stosownie do ilości sztuk ubitego ptactwa, przyznaną mu nagrodę. Powód do tego dała ta okoliczność, że urządzono w ostatnich czasach po wielu bardzo miastach rządowe stacye pocztowych gołębi, których używają do przesyłek wiadomości, a jastrzębie i t. p. czynią między tymi skrzydlatymi pocztylionami wielkie rozboje.

(Hodowca).

Donoszą nam, że w powiecie Brodzkim myśliwi znajdują tyle słonek, ile ich tylko w nadzwyczajnych latach bywa. Oczekujemy szczegółowych sprawozdań.

Dawno chciałem przesłać Redakcyi „Łowca“ sprawozdanie z łowów, ale jako stary już myśliwy nie miałem nic do zanotowania. Dawniej polowałem na wszelką zwierzynę w kniei i w polu, dziś tylko z chartami, i to namiętnie, ale że ten rodzaj polowania mało znajduje zwolenników, więc nie odzywałem się, bo dla kogoż, gdy charciarzy już prawie dzisiaj nie ma. Charciarstwo ustępuje, bo nie ma dawnych obłogów, zarosłych trawami, i owych sławnych komeszy, które tak ku sobie pociągały zające i lisy, a pola pod ciągłą uprawą nie dają się wychowywać zwierzynie, i z tego to powodu charciarstwo może wkrótce zupełnie zniknie. Łaskawy sąsiad p. Ludwik Szawłowski z Przewłoki, lubo sam dzielny myśliwy, pozwala mi na swoich polach z chartami polować gdyby nie jego względność dla mnie, musiałbym także tej ulubionej mojej pasyi zaniechać. Lecz nie o charty tu chodzi, pragnę raczej podzielić się z czytelnikiem niespodzianką, jaką myśliwym sprawił p. L. Szawłowski, zapraszając nas kilku jego sąsiadów na słonki do swego drugiego majątku Dubinka na d. 13. Października. Przedtem szalał silny wiatr, który sprowadził deszcz, i zdawało się, że w oznaczonym dniu wcale polować nie będziemy mogli, ale po rannej mgle zaświeciło słońce i najpiękniejszy zajaśniał dzień jesienny. Więc corychlej spieszymy, aby w porę stanąć w miejscu wskazanem. Około 11. staliśmy na stanowiskach, wnet się pogonka odezwała i niemal równocześnie z jej głosem padły gęste strzały. Tak braliśmy miot po miocie, a ostatecznie o godzinie 4. mieliśmy na rozkładzie zabitych w pięć strzelb 27 słonek, 12 zajęcy i 1 lisa na 80 strzałów. Piękny ten rezultat zasługuje na zanotowanie, i jeżeli w tym dniu wszędzie z takim polowano skutkiem, to był on niezawodnie dniem pogromu dla naszych długodzióbych gości.

W. M.

Ogłoszenia.

Redaktor: Józef Łoziński. Adres: Władysław Zontak ul. Teatralna Nr 18.

I. Związkowa Drukarnia we Lwowie.